

KAMENY

LUBLIN

30.XI.1963

Nr 22 (284)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

„Krwawa środa” na Powiślu

LESZEK SIEMION

LISTOPAD 1942 roku w historii powiatu puławskiego zapisał się jako najkrwawszy, ze wszystkich 58 miesięcy, jakie przeżyła Lubelszczyzna pod panowaniem hitlerowskiego najeźdźcy. Pasma tragicznych wydarzeń zapoczątkowało bestialskie rozstrzelanie 11 osób we wsi Łąkoć, gm. Kurów, za którą to egzekucją przyszła ich cała seria, połączona z masowymi aresztowaniami.

Zbiegiem okoliczności, w ręce gestapo wpadł wówczas jeden z członków tzw. Kadry Bezpieczeństwa, organizacji podziemnej działającej w powiecie puławskim od 1941 roku. Na jej czele stał Stefan Bonikowski, były dyrektor wileńskiego teatru, ukrywający się w okolicach Kazimierza n/Wisłą. Głównym siedziskiem tej organizacji było pobraże Wisły, mniej więcej od Puław po Kazimierz i okolice. Ujęty przez gestapo łącznik KB, mieszkaniec Wólki Profeckiej, był niezłe zorientowany w organizacyjnych kontaktach, toteż kiedy wskutek tortur załamał się w śledztwie, „sypnął” wiele danych, które pozwoliły hitlerowcom umiejscowić konspiracyjne ognisko. Nie wykluczone, że aresztowany „Bagnet” objaśnił też gestapo, że to KB przeprowadziło w październiku udaną akcję na KKO w Puławach, skąd bojownicy ekspropriowali 480 tysięcy „młynarek”. Zeznania te potwierdziła również udana akcja KB na garbarnię w Kazimierzu, skąd zabrano znaczny zapas wyprawnych skór. Swoją zdobycz bojownicy zamelinowali w podziemnym bunkrze, zbudowanym w jarach pod Zbędowicami.

Niezależnie od trafności naszych domysłów, faktem jest, że w środę 18 listopada na całe Powiśle puławskie spadła przed świtem hitlerowska ekspedycja, w skład której weszły 3 bataliony Wehrmachtu, 2 bataliony żandarmerii i SS oraz batalion „własowców”.

Pełne przerażenia było przebudzenie się mieszkańców Kazimierza. Niektórzy, widząc co się święci, usiłowali w ostatniej chwili wymknąć się z miasteczka, ale kordon hitlerowców zamknął wszystkie wyloty. Zahuczały wzniosłe strzały, padli pierwsi zabici. Oto jak opisuje ten moment mieszkanka Kazimierza Stanisława Głowinkowska:

„W pamiętny dzień pacyfikacji Kazimierza mąż mój postanowił bezwzględnie wyostać się z niego, godząc się, bym mu towarzyszyła. Dnia 18 listopada 1942 r. o świcie ruszyliśmy w drogę ulicą Cmentarną, w kierunku wsi Dąbrówka. Za zakrętem, przed cmentarzem niespodziewanie natknęliśmy się na niemieckich żandarmerów, którzy zatrzymali męża ledytmując Go, mnie zaś kazali wycofać się. Kiedy uczyniłam kilka niepewnych kroków z powrotem, usłyszałam

strzał. Zbliżyłam się, zobaczyłam męża leżącego na ziemi. W następnej chwili poczułam ostry ból w plecach. Przeształono mi prawy obojczyk, ale nieświadoma mego stanu biegłam do miasta z myślą, że uda mi się sprowadzić pomoc lekarską dla męża, że może jeszcze taka pomoc mu potrzebna, że może Niemcy zostawią Go. Niestety upływ krwi był tak wielki, że gdy dotarłam do ul. Krakowskiej, gdzie mieszkaliśmy, straciłam przytomność. Z opowiadań ludzi dowiedziałam się, że śmierć mego męża nie była lekka. W ciele, oprócz postrzału miał na piersiach rany klute...”.

Podobny los spotkał Stanisława Pałkę. Podczas próby przedostania się do przyległych wawozów doścignęła go niemiecka kula. Ranny w nogę przycołgał się na powrót do domu, dokąd w chwilę później przyszli za nim hitlerowcy. Szli według z góry ustalonego planu — z listą proskrybowanych w ręku. Nazwisko Pałki na liście figurowało również. Po sprawdzeniu jego personaliów, widocznie nie chcąc trudzić się transportem rannego, zastrzelili go bez litości, na oczach żony.

Edmund Załuski, mieszkający przy ul. Plebanka 8, obudził się, kiedy hitlerowcy już otoczyli dom i wyważyli drzwi do mieszkania. Nie pozwalając zaskoczonemu na żadne tłumaczenia, powlekli go na ulicę, tłukąc kolbami i kopiąc brutalnie. Kiedy padł pod ramionami, dobili go kolbą, jeszcze na tejże ulicy Plebanka.

Tego dnia hitlerowcy oprawcy zamordowali w Kazimierzu 17 osób. Kilkadziesiąt innych zostało aresztowanych, zaś z pomiędzy nich wielu już nigdy nie ujrzano rodzinnego domu. Tak na przykład w Oświęcimiu zginęli aresztowani wówczas: Tadeusz Sawczuk, Tadeusz Kudliński, Henryk Sobczak i Klemens Oroń. Losu ich nie doczekał Edward Klusiak, który jeszcze podczas transportu aresztowanych próbował ucieczki i poniósł śmierć.

Po spacyfikowaniu miasteczka ekipy hitlerowskich siepaczy rozlały się po okolicznych wsiach, wszędzie pozostawiając za sobą placz i lamenty zmaltretowanych mieszkańców. Zewsząd pędzili potem aresztowanych, przeznaczonych na zagładę. Ciężkie straty poniosła wieś Jeziorszczyzna. Z aresztowanych jej mieszkańców zginęli w Oświęcimiu: Piotr Killian, Franciszek Siedliski, Mieczysław Charchuła, Władysław Śmiech i Józef Szyszkwowski. Taki sam los spotkał Piotra Plewickiego — 18-letniego chłopca z Lasu Miejskiego, Czesława Parucha z Witoszyna, Edwarda Kurka z Cholewianki i wielu innych. Żaden z nich nie przeżył dłużej niż 2-4 miesiące, co niezawodnie wskazuje, że ich los był z góry przesądzony.

Tragiczne było również pokłosie pacyfikacji w Puławach. Na przedmieściu Włostowice hitlerowcy zabili ojca wraz z trzema synami. Zginął też młody Ignacy Łaziński. W mieście aresztowano kilkudziesięciu ludzi. Spośród nich Oświęcim pochłonął Bronisława Króla, Józefa Szczybę, Wacława Stawskiego, Stanisława Kusia, Antoniego Kaniewskiego i Henryka Pruszyńskiego, zaś Jan Kowalik zginął w Gross Rosen. I im hitlerowcy wyznaczili

* Archiwum Historyczne ZO ZBoWID w Lublinie;teczka „Zbrodnie okupanta”, poz. 6.

(Dokończenie na str. 8)

O CZYSTE NIEBO

ROMAN ROSIAK



„Ojcowie nasi utworzyli na tym kontynencie naród nowy, z wolności poczety i oddany wierze, iż wszystkie ludzie są stworzeni równymi sobie”.

Te słowa blisko 100 lat temu (1865) powiedział prezydent Abraham Lincoln. Droga była cena, jaką musiał zapłacić za próbę wprowadzenia ich w życie. Kula położyła kres jego walce o równouprawnienie Murzynów i demokrację. Rasizm tym razem jeszcze uratował się przed klęską. Gdy zawiodły wszystkie argumenty, zwolennicy starego porządku podpisali sojusz ze śmiercią. Jej pomoc okazała się niezawodna. Dla aktora Johna Bootha za brakło wprowadzić roli w sztuce, na którą tuż po zakończeniu wojny domowej wybrał się Lincoln, znaleźli się jednak ludzie, którzy pomogli aktorowi odegrać życiową rolę i otworzyć swym imieniem i nazwiskiem haniebną czarną listę morderców amerykańskich mężów stanu.

Przykład nie pozostał bez echa. Historia dopisała w następnych latach dwa dalsze nazwiska zabójców: w 1881 r. — Charlesa Guiteau (zamordował prezydenta Jamesa Garfielda) i w 1901 r. — Leona Czolgosza (zastrzelił prezydenta Williama McKinleya). To ostatnie zbrojstwo zostało dokonane na progu XX wieku, epoki wielkiego rozkwitu kultury i nauki, gigantycznego skoku ludzkości ku nowym, lepszym formom życia. Zdawać by się mogło, że w czasach elektronowych mózgow i atomu amerykańska lista morderców zostanie raz na zawsze zamknięta...

Stało się jednak inaczej. W piątek, dnia 22 listopada br. od skrytobójczej kuli zginął najmłodszy w dziejach USA

prezydent — John Kennedy, człowiek, który po latach zimnej wojny zrozumiał konieczność polityki pokojowej.

Prezydent Kennedy był przedstawicielem obozu kapitalistycznego, światła, z którym prowadzimy otwartą, zdecydowaną walkę. Należał on jednak do ludzi, którzy potrafili trzeźwo ocenić aktualną sytuację. Widział, że jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo może pogрузić świat w oparach radioaktywnego pyłu. Rozumiał też, że w rękach ludzi jest ich własny los, ich przyszłość i przyszłość ich dzieci. Za jego kadencji doszło do podpisania układu moskiewskiego, w czasie sprawowania przez niego władzy prezydenta zaświeciła nadzieja, że wszelkie rozbieżności między Wschodem i Zachodem będą niwelowane na drodze dyskusji. Z całym przekonaniem apelował Kennedy do senatu USA o ratyfikowanie układu moskiewskiego, nie chciał dopuścić do tego, by atom stał się źródłem zagłady ludzkości. Jest rzeczą jasną, że jako prezydent największego obok ZSRR mocarstwa na świecie, powołany w dodatku na kierownicze stanowisko w wyjątkowo trudnym dla USA okresie, nie miał łatwego zadania. Jakkolwiek jednak ocałalibyśmy różne momenty jego działalności, że nie można negować faktu, że był to mąż stanu w pełnym tego słowa znaczeniu, trzeźwy polityk i uczciwy człowiek pragnący tego, o czym marzą miliony ludzi na całym globie — pokoju.

28 bm. zebrała się w Warszawie Światowa Rada Pokoju. Rozpoczęła ona obrady w chwili, gdy Stany Zjednoczone przeżywają głęboki kryzys.

(Dokończenie na str. 2)

O CZYSTE NIEBO

(Dokończenie ze str. 1)

Ponad 400 delegatów z 80 krajów radziło nad tym, aby idea, która przyswierała także działalności Kennedy'ego znalazła godnych kontynuatorów.

Trudno o lepszy hołd niż ten, na który zdobyło się pismo „Evening Star” zamieszczając rysunek przedstawiający Lincolna obejmującego Kennedy'ego i podpis: „Ktoś zakończy nasze dzieło”.

Gdy dziś żegnamy prezydenta USA, jesteśmy przekonani, że jego rząd przyczynił się w dużej mierze do odprężenia w stosunkach międzynarodowych, chociaż nie zapominamy i o tym, że w Arlington spoczęły zwłoki działacza, który kierował obozem kapitalistycznym. Te dwie rzeczy trzeba odróżniać: inaczej musimy patrzeć na człowieka i jego pokojową działalność, inaczej zaś oceniać ideologię i obóz, do którego on należy. Potęplaliśmy i

Wycieczki — 293 tys. zł
zakup książek — 11 „ „
zakup instr. muz. — 5 „ „

W Łapach ton życia miasta i powiatu nadają Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego. Wydaje się jednak, że zakłady te w swych poczynaniach kulturalnych nie wychodzą naprzeciw potrzebom miasta. Zebrania i narady komisji koordynacyjnej często są niewypałami. Kolejarze nie kwapią się złożeniem pieniędzy na wspólne cele. Również i świetlica ma charakter raczej wewnętrzny. Przykład tak poważnego partnera działa i na pomniejszych. PSS, mleczarnia, spółdzielnie pracy — każda z tych instytucji swoje skromne środki finansowe na kulturę wydatkuje we własnym zakresie. Słowem — zamiast skupienia środków, ich dekoncentracja. Niektóre przepisy finansowe zabraniają manipulacji funduszami przeznaczonymi na wydatki kulturalne. Czyżby w każdym powiecie obowiązywały dla tych samych instytucji odrębne przepisy?

Referat Ministerstwa Kultury na marcowej krajowej naradzie w Warszawie wskazywał między innymi na to, że Związek Młodzieży Socjalistycznej, mający ogromne pole do działania choćby w zakresie rozwoju czytelnictwa młodocianych jest w powiecie najczęściej pozostawiony samemu sobie. W Łapach sprawa przedstawia się inaczej. Wygląda na to, że Zarząd Powiatowy ZMS chyba nie potrzebuje pomocy doświadczonych działaczy kultury. Bo czym tłumaczyć na przykład stałą nieobecność przedstawiciela tej organizacji na posiedzeniach komisji koordynacyjnej?

W powiecie Wysokie Mazowieckie opinie o pracy Referatu Kultury PPRN kształtują się różnie. Mimo to komisja koordynacyjna pracuje niezłe, ale po bliższym przyjrzeniu się tej działalności nasuwają się pewne wątpliwości. W roku 1963 nie notuje się ze strony zakładów pracy żadnych wpłat na konto komisji koordynacyjnej. Dlaczego?

W roku 1962 na koncie komisji było około 40 tys. złotych. Meblarnia, przetwórcza owocowo-warzywna, PSS, GS wpłacały pewne sumy na kulturę, choć przecież komisja nie rozporządza właściwie żadnymi sankcjami prawnymi. W roku bieżącym władze finansowe podobno zabroniły dokonywania wpłat na konto komisji koordynacyjnej — jak określono „na imprezy”. Tak więc od stycznia do tej pory PZGS i GS nie złożyły na fundusz komisji. Za to każda GS w powiecie ma ambicję otworzenia w gromadzie klubu - kawiarni. Czyżby w tej kwestii nie przydała się jakaś wymiana zdań w łonie komisji koordynacyjnej?

Mimo pewnych zastrzeżeń co do stopnia udziału funduszu gromadzkiego w finansowaniu spraw kultury w powiecie Mońki dobrze chyba postąpili działacze, że tam gdzie nie ma gromadzkiej świetlicy lub biblioteki — działalność kulturalno-oświatowa jest prowadzona we wsiach w oparciu o szkoły.

Może podobać się praca działaczy w powiecie zambrowskim, gdzie realizowane są wieloletnie plany organizacji wiejskich ośrodków kultury, tzw. świetlic-remiz. Usytuowana jest tutaj biblioteka z czytelnią, klub z kawiarnią, kino.

W gromadzie Srebrna inwestycja taka w poważnej mierze powstała dzięki czynowi społecznemu mieszkańców gromady. Nie więc dziwnego, że PPRN po zasięgnięciu opinii komisji koordynacyjnej przyznaje dodatkowo na prace wykonawcze dotację w wysokości 50 tysięcy złotych. Podobna świetlica-remiza powstaje również w Zawadach.

(Dokończenie na str. 14)

potęplamy politykę tych kół USA, które zmierzają do rozpętania nowej wojny, wszelkimi środkami pragną bronić starego układu stosunków społecznych, sankcjonować dyskryminację rasową, przedłużać agonie ustroju skazanego dawno na śmierć. Jeśli jednak w obozie tym znajdzie się człowiek, który chociaż w niektórych sprawach okaże się naszym sojusznikiem, opowie się za tym, co dla nas przedstawia największą wartość — za walką o pokój — potrafimy ocenić jego wkład i zasługi, bez względu na to, że należy do wrogiemu nam obozu. Ludzkość nie może wypuścić z rąk tego, co zdobyła w ciągu ostatnich lat i miesięcy. Dzieło zbudowania trwałego pokoju musi być doprowadzone do końca. Niewątpliwie nieraz jeszcze przyjdzie nam żegnać ludzi, którzy w swojej działalności widzieli na pierwszym planie konieczność pokojowego rozwiązywania problemów międzynarodowych. Lecz pewną jest rzeczą, że ich ofiary nie będą daremne, bo łatwo

zabić człowieka, ale idea się nie zabije. Może też wreszcie śmierć Kennedy'ego stanie się dla narodu amerykańskiego sygnałem do podjęcia bardziej zdecydowanej walki o to, by raz na zawsze wymazane zostały z jego dziejów słowa wojna i rasizm, kapitalizm i zbrodnia. Może wreszcie urzeczywistni się nadzieja Norwida, który powiedział, wstrząśnięty morderstwem popełnionym na Murzynie Johnie Brownie, bojowniku o wolność i równouprawnienie Murzynów:

Więc, nim Kościuszki cień
[I Waszyngtona
Zadrzy — początek pieśni
[przyjm, o Janie!
Bo pieśń nim dojrzy, człowiek
[nierzaz skona,
A, niżli, skona pieśń, naród
[pierw wstał]

Te słowa wielkiego poety polskiego, powiedziane blisko 100 lat temu, do dziś zachowały aktualną wymowę.

Roman Rosiak

Funkcja wychowawcza LOK

LIGA Obrony Kraju spełnia doniosłą funkcję wychowawczą w zakresie moralnego przygotowania narodu do obrony ojczyzny oraz utrzymania i pogłębienia więzi z Ludowym Wojskiem Polskim. Kierunek, cele i zadania, jakie stawia sobie Liga wynikają z konkretnych warunków, będących rezultatem burzliwego rozwoju społecznego, politycznego i rozwoju techniki, a tym samym sytuacji stwarzającej nowe potrzeby i wymagającej nowych przedsięwzięć zarówno w sferze działalności społeczno-ekonomicznej, jak i w zakresie zagadnień związanych z obronnością, gdzie Liga ma spełniać określone zadania, które można by ująć w kilku głównych punktach.

Organizowanie w całym kraju społecznych podstaw obrony terytorialnej przez utworzenie i działanie oddziałów samoobrony. Drużyny i plutony samoobrony organizowane są w kołach LOK i stanowią ich organiczną część. Mają to być zdyscyplinowane kolektywy energicznych, aktywnych i ofiarnych ludzi, posiadających głębokie poczucie odpowiedzialności za całość i bezpieczeństwo mienia społecznego. Stawia się przed nimi szerokie i poważne zadania. Winny one w razie konieczności być zdolne do zabezpieczenia i obrony ważnych z punktu widzenia gospodarczego obiektów swego terenu. Winny także podejmować prace społeczno-użyteczne mające jednocześnie znaczenie gospodarcze i obronne. Widzi się tu takie czyny społeczne, jak np.: naprawa lub budowa mostów, dróg, zbiorników wodnych oraz akcje przeciwko kłeskom żywiołowym. Oddziały samoobrony muszą także prowadzić pracę szkoleniową - wychowawczą, która obok umiejętności specjalistycznych, niezbędnych do wykonania poważnych zadań, ma kształtować dyscyplinę społeczną i operatywność w zespołowych akcjach. Miejscem powstawania i działania oddziałów samoobrony są w pierwszej kolejności środowiska wiejskie, osiedla, a następnie zakłady pracy. Drugim punktem wymienionym poprzednio winno być szkolenie przedpoborowych dla potrzeb technicznych wszystkich rodzajów naszych sił zbrojnych oraz prowadzenie szkoleń specjalistycznych w różnych kierunkach politechnicznych dla potrzeb społeczeństwa, a przydatnych także w wojsku, jak kursy motorowe i traktorowe, łączności, wodne, modelarskie, elektro- i radio minimum.

Ważne miejsce w programie działania Ligi Obrony Kraju zajmuje również problem dalszego zacieśnienia więzi społeczeństwa z Ludowym Wojskiem Polskim przez organizowanie wszelkiego rodzaju konkursów o tematyce wojskowej.

Zmiany, jakie dokonały się w organizacji po IV Krajowym Zjeździe, dotyczą także sportu. Liga odrzuciła całkowicie kosztowny i elitarny wyczyn na korzyść masowości, nie rezygnując z niezbędnego w sporcie elementu współzawodnictwa. Ma ono jednak charakter masowy w postaci spartakiad kościuszkowskich obejmujących różne dyscypliny, z eliminacjami, od koła, aż do szczybla centralnego. Wszelkimi tym poczynaniom towarzyszyć musi głęboko pojęta praca wychowawcza, której poziom i zakres niewątpliwie w zasadniczy sposób musi oddziaływać na społeczeństwo.

Mając tak poważne zadania do realizacji lubelska organizacja LOK musiała włożyć wielki wysiłek w zorganizowanie zbiorowej pracy szerokiej rzeszy aktywu społecznego. Mimo dużych trudności LOK może poszczycić się poważnymi osiągnięciami w swej pracy. Na terenie województwa lubelskiego istnieje 1392 koła i kluby o łącznej liczbie 47 622 członków. Udział klubów specjalistycznych łączności, modelarskich, wodnych, motorowych i KOR-ów w ogólnym stanie organizacji wynosi 47 jednostek z liczbą 2634 członków. Stan ten jest poważnym osiągnięciem pracowników etatowych i aktywu społecznego Ligi oraz współdziałających organizacji.

S.



Z ogólnopolskich zawodów modeli pływających

Inicjatywa plus koordynacja

KRZYSZTOF WÓJTOWICZ

W ROKU bieżącym na Białostocznym wiele mówi się i czyni w zakresie pobudzenia obywatelskiej inicjatywy społecznej. Rok Ziemi Białostockiej zobowiązuje. Budowa dróg, melioracje, sadzenie drzew. Jednakże pewną część tak obudzonej energii społecznej warto skierować również na zaspokajanie potrzeb kulturalnych.

Wiadomo bowiem, że nie wszystkie potrzeby i postulaty w dziedzinie kultury mogą być zaspokajane w drodze zwiększenia budżetu państwowego, dodatkowych dotacji, nowych inwestycji itp. Najlepiej zdają sobie z tego sprawę działacze rad narodowych, mający na co dzień do czynienia z tymi problemami. Ale nie ma potrzeby zakładać czarnych okularów. Jeśli społeczne wysiłki nie przynoszą nieraz oczekiwanych efektów, to przeważnie jest to wynikiem trudności wcale nie obiektywnych. Trudności te to brak koordynacji sił, środków i zamierzeń, nieumiejętność wykorzystania rezerw w różnej postaci (kadry, pieniądze, sprzęt). Trudności przeważnie do pokonania, a więc ty powo subiektywne.

Kilka przykładów. Preliminarz wydatków budżetowych Referatu Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Goldapi kształtuje się w wysokości wcale nie wyższej, niż w innych powiatach naszego województwa. Jednak za te same pieniądze robi się tutaj więcej, niż gdzie indziej.

Przyjrzyjmy się bliżej. Jedną z przeszkód w szerokim upowszechnieniu sztuki i kultury jest w naszym województwie, a nawet w kraju, brak odpowiednich sal widowiskowych. Gdzieś niedługo, znajdują się odpowiednie pomieszczenia, ale nie przystosowane. Tam należy wykorzystać czyny społeczne i skupić środki finansowe z różnych źródeł, jak rady narodowe, zakłady prac, ognia spółdzielczości.

Według tego niemal klasycznego wzorca postąpiono w Goldapi. MPRB ma pieniądze, PSS również. Czy każde z tych przedsiębiorstw dla zaspokojenia kulturalnych potrzeb swoich pracowników ma tworzyć własny klub?

Na posiedzeniu komisji koordynacyjnej postanowiono skupić środki na przystosowanie sali widowiskowej przy Powiatowym Domu Kultury. Kosztem 100 tysięcy złotych wyremontowano i wyposażono w niezbędny sprzęt piękną, niezbyt dotąd salę PDK, która dzisiaj nie tylko stanowi chlubę miasta, ale przynosi wielki dla jego mieszkańców pożytek. Sala ta przez długi czas stanowiła marzenie goldapijan i kiedy każdy po trosze się przyłożył, obiekto się ono w rzeczywistość. Wszyscy się o tym interesowali. Nie tylko zakłady pracy i Referat Kultury, ale również Komitet Powiatowy PZPR i Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

Tyle na plus goldapskiej komisji koordynacyjnej.

Z drugiej jednak strony wydaje się, że mogłaby ona częściej wyrażać swoje opinie na temat proporcji wydatków na tzw. cele „socjalno-kulturalne” w Państwowch Gospodarstwach Rolnych. Proporcje te budzą pewne wątpliwości. A oto cyfry obrazujące wydatki PGR w tej dziedzinie:

START „KAMENY”

(I)

KAZIMIERZ ANDRZEJ
JAWORSKI

W R. 1925 przy Męskim Seminarium Nauczycielskim w Chełmie powstało z mojej inicjatywy koło, grupujące młodzież, która miała specjalne zainteresowania literackie i pragnęła poprzez lekturę, referaty i dyskusję pogłębić znajomość twórczości Stefana Żeromskiego, obranego patronem organizacji.

Ale Koło nie poprzestało na zapoznawaniu się z dziełami Żeromskiego. Jako drugi, nie mniej ważny cel swej działalności, postawiło sobie poznanie rozwoju współczesnej poezji polskiej — od skamandrytów do awangardy włącznie, bo program języka polskiego w zakresie literatury kończył się wówczas na Młodej Polsce.

Wśród uczniów moich znaleźli się nie tylko konsumenci, ale i producenci słowa poetyckiego. Zrazu były to jednostki: najpierw Jan Szczawiej, debiutujący zbiorkiem w r. 1930, potem Witold Kasperski — w r. 1932 (oba — po opuszczeniu szkoły). Wrodzone zdolności rozwinięte przez systematyczne poznawanie liryki współczesnej pozwoliły im na wydanie książek, których nie musieli się wstydzić. Ale najszcześniejsze dla rozwoju poezji szkolnej okazały się lata 1933—1934, kiedy to kilka zdolnych i rywalizujących ze sobą jednostek skupiło się na jednym kursie: Wacław Mrozowski, który już będąc na czwartym roku studiów nauczycielskich wydał zbiorek wierszy, Zdzisław Popowski, który zadebiutował w r. 1934, Ignacy Gąsior (dziś — Gąsiorowski), Wiktor Matyszczuk (dziś — Bazylewski), Czesław Morawski i Stanisław Turczyn. Dodajmy tu jeszcze nie ujawniającego się wówczas, ale już piszącego — Czesława Twardzika oraz dzisiejszego plastyka warszawskiego Kajetana Sosnowskiego, a cała paczka uzdolnionych moich uczniów będzie w komplecie.

Do tych nazwisk wypadnie mi jeszcze wrócić. Na razie wspominam o nich dlatego, że Koło Literackie stwarzało klimat sprzyjający m. in. powstaniu takich zdawałoby się niedorzecznych pomysłów, jak zamiar założenia w Chełmie pisma literackiego. Bo pismo młodzieży seminarialnej i to pod nie byle jakim tytułem („Pióro”) wychodziło tu sporadycznie z przerwami przez trzy lata. Nie czułem się osamotniony i był precedens.

Ale nie tylko dlatego. Wśród kolegów nauczycieli miałem człowieka bliższego mi od innych, z którym się zaprzyjaźniłem. O sześć lat starszy ode mnie, nauczyciel rysunków o wszechstronnych upodobaniach artystycznych, ale przede wszystkim malarz, który już parokrotnie wystawiał swe obrazy, nazywał się Zenon Waśniewski.

Przybył do Chełma z młodzieńką urodziwą żoną, która mu nieraz pozwała do portretów, w r. 1921 z Radzyna, gdzie, niedoszły architekt, pracował w budownictwie wojskowym i w prywatnym gimnazjum. Rodem z Tarnowa, ukończył szkołę realną w Krakowie, po czym wstąpił do Politechniki Lwowskiej na architekturę. Ale wybuchła wojna i po dwu latach studiów, zmobilizowany przez władze austriackie, do r. 1916 pełnił służbę pozafrontową, po czym został zwolniony z wojska. Jako student architektury, otrzymał wtedy pracę w Krakowie i odnawiał freski na Wawelu. Tam zetknął się z Fałatem, który go zachęcał, aby zaczął studiować w Akademii Sztuk Pięknych. Zdawał do Akademii w r. 1917, ale nie został przyjęty, gdyż ówczesny rektor Mehoffer na podstawie przedłożonych mu akwarel i rysunków stwierdził, że Waśniewski ma już swoją manierę — widocznie profesor wolał mieć do czynienia z materiałem surowym.

Kontynuację studiów w Politechnice uniemożliwiły znowu wypadki wojenne — wybuch powstania ukraińskiego we Lwowie. Uczelnię zamieniono na szpital, a niefortunny student zrezygnował już z dalszej nauki. Jednak plastyce pozostał wierny przez

całe życie. Malował przeważnie portrety, ale pracował chętnie i w plenerze (przeważnie akwarele, lecz również olej, tempera i pastel). Dwukrotnie wystawiał obrazy w warszawskiej Zachęcie, prócz tego w Lublinie i Zamościu. Zresztą miał i zamiłowania literackie. Pisał wiersze oryginalne i tłumaczył z poezji niemieckiej.

Nie więc dziwnego, że zbliżyliśmy się do siebie. Łączyły nas wspólne zainteresowania, zamiłowanie do książek, które jak i ja gromadził, przyjazny stosunek do młodzieży, udział w reżyserowanych przeze mnie szkolnych przedstawieniach teatralnych, do których robił dekoracje i projektował kostiumy. Na niego mogłem zawsze liczyć. Pracowity, uczynny, łatwo entuzjazmujący się, choć na pozór zamknięty w sobie i milkliwy, był dowcipny i miał poczucie humoru, co zawsze w ludziach cenię. Z innymi kolegami utrzymywałem tylko bliższe, lub dalsze stosunki koleżeńskie i towarzyskie, jego uważałem za przyjaciela.

Na dłużących się nieraz w nieskończoność i nie zawsze interesujących posiedzeniach rady pedagogicznej sadowiłem się zazwyczaj obok niego, bo zawsze jakimś zabawnym spostrzeżeniem i szeptanym mi z śmiertelną powagą do ucha dowcipem potrafił rozwiać panującą nudę. Zaglądałem mu przez ramię, gdy słuchając toczącej się dyskusji jednocześnie szybko i niedbale kreślił karykatury kolegów i kilkoma nieraz pociągnięciami ołówka osiągał zdumiewające podobieństwo.

Nieraz w naszych pogawędkach poruszał się sprawa, która interesowała nas obu, a do której często wracaliśmy zwłaszcza po ukazaniu się w Lublinie pierwszego numeru „Barykad”. A gdyby tak spróbować założyć pismo literackie w Chełmie? Koszty wydawnictwa byłyby tu znacznie mniejsze niż w Lublinie. Orientowaliśmy się mniej więcej w cenie, znając zakład, w którym drukowało się piśmiśko uczniowskie i gdzie tłoczono parę moich zbiorów. Ale wydawać coś podobnego w mieście powiatowym liczącym trzydzieści tysięcy mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi? Dlaczegożby nie? Przecież nie miejsce druku jest ważne, tylko treść publikacji, wartość piór, które się zdobędzie. A chwila do założenia miesięcznika poświęconego poezji była bardzo odpowiednia: umilkł „Skamander”, skończyła się „Kwadryga”, przestała ukazywać się „Linia”, podobnie Łódzkie „Prądy”, „Reflektor” już dawno nie wytrzymał próby czasu, a ostatnio znów „Barykady”. Wilno zdobywało się jedynie na nieregularnie ukazujące się wydawnictwo o formacie gazetowym. Łuka wyraźnie prosiła się o wypełnienie.

Tylko, że strona graficzna nie jest obojętna, a czego można się spodziewać po drukarniach chełmskich, których możliwości są bardziej niż skromne? Trzeba się najpierw rozejrzeć w sytuacji, zasięgnąć języka. No, dobrze, ale przede wszystkim skąd wziąć pieniądze na imprezę tego rodzaju?

Gdyby tak założyć coś w rodzaju spółdzielni wydawniczej? Rozeźmiłbym się na tę myśl obaj. Ładna mi spółdzielnia, z góry przewidziana na straty, a nie zyski. Ale im więcej członków byłoby w takiej kooperatywie, tym straty przypadające na każdego byłyby mniejsze. Na razie jest nas dwóch. Gdybyśmy mogli znaleźć jeszcze osiemnastu, to na pewno ruszyłbyśmy z miejsca. Gdzie szukać tych ludzi? Oczywiście liczyć można by tylko na niektórych kolegów. Bądź co bądź przecież to akcja oświatowa.

Nie pamiętam daty inauguracyjnego zebrania, na którym powzięto uchwałę wydawania pisma literackiego. Rok 1933 przed wakacjami. Widzę dobrze ten słoneczny dzień czerwcowy, tuż oceniającą okno mego pokoju i grupę nauczycieli, wśród których znajdował się i mój były uczeń. Zreferowałem pokrótce nasz projekt, o którym zresztą koledy i przedtem coś niecoś wiedzeli, Waśniewski zaś zapoznał obecnych z budżetem zamierzonego wydawnictwa, po zasięgnięciu bowiem informacji w tutejszych drukarniach orientowaliśmy się już z grubszą, ile mniej więcej nasza impreza może kosztować.

Wszystko poszło niespodziewanie gładko, co wynikało zarówno ze zrozumienia wartości wydawnictwa tego rodzaju, jak i koleżeńskich chęci po-

(Dokończenie na str. 8)

50 LAT PRACY PISAR- SKIEJ

TADEUSZ
STANISZ

JAK ten czas leci! Oto już 50-lecie pisarstwa autora „Orki na ugorze”, a jubileusz 40-lecia stoi żywo przed moimi oczyma. Pamiętam wzruszenie Jana Wiktora, przy odczytywaniu telegramów, zwłaszcza od dzieci szkolnych z rodzinnego Radomyśla, pamiętam piękną i dowcipną mowę Brezy, serdeczne przemówienie Polewki na zebraniu Związku Literatów Polskich.

Droga pisarska Jubilata nie jest zakończona. Prócz wznowień przedwojennych utworów ukazują się nowe powieści i opowiadania. Ale szczególna rola Wiktora w literaturze polskiej jest już określona i jasna. Głębokie umiłowanie człowieka, gorące współczucie dla świata ludzi biednych i pokrzywdzonych, żarliwa obrona ludzi prostych — to chyba najbardziej znamienne cechy jego twórczości. Idzie z tym w parze poczucie społecznej odpowiedzialności pisarstwa, jako służby dla narodu. Ten rys rozwinięty jest u Wiktora w sposób wyjątkowy.

Jubileusz skłania do przypomnienia choćby w pobieżny sposób działalności pisarskiej na tle niezwykle pracowitego życia.

Jan Wiktor urodził się 1 listopada 1890 roku, w Radomyślu nad Sanem, w małej, biednej, piaszczystej osadzie murarskiej, skąd na widsnę dorodził mężczyźni ruszali w świat w poszukiwaniu sezonowej pracy. Do gimnazjum chodził w Debicy, ukończył je w roku 1910. Nie były to łatwe lata; w trudnych warunkach materialnych młody chłopak zdobywał wiedzę oficjalną i tę drugą — o życiu; z trudem odkładał centy na umiłowane książki i chyba Żeromski miał wpływ decydujący na umysł i serce gimnazjalisty. Po maturze Wiktor rozpoczął studia na medycynie we Lwowie; niestety poważna choroba zmusiła niedoszłego doktora Judyka do ich przerwania; ideałem Judyka został jednak zawsze wierny.

Trzeba było leczyć się, stąd związek Wiktora ze Szczawnicą. Górskie, wspaniałe powietrze Pienin uratowało wtedy zagrożone zdrowie i ratowało je niejednokrotnie w późniejszych latach.

Na tle przyrody szczawnickiej rozgrywa się akcja najpopularniejszej chyba powieści Wiktora „Orka na ugorze”.

Dorośli znają tę książkę z wielu wydań powtarzanych od roku 1935, wychowawcy pamiętają w niej postać nauczycielki walczącej odważnie w latach trzydziestych z bezduszną formalistyką władz. Starsze dzieci szkolne przypominają sobie z wypisów postać małego górala „Alojza” Malinowskiego, śmigającego na nartach do szkoły i przelewającego do czystej fiaszeczki po atramencie herbatę, otrzymaną w szkole w czasie dożywiania, dla chorej matki.

W roku 1955 wydał Wiktor obszerną, bogato ilustrowaną monografię krajoznawczą: „Pieniny i Ziemia Sądecka”. Jest to w pewnym sensie dług wdzięczności spleciony temu ślicznemu zakątkowi Polski przez pisa-



rza, który odzyskał tu zdrowie.

Ale wróćmy do początków literackich zainteresowań Wiktora. W latach 1913—1914 ogłasza on swe pierwsze artykuły w prasie lwowskiej i krakowskiej pod pseudonimem Stacha Szarugi. W czasie pierwszej wojny światowej odwiedza z kolumną sanitarną najbardziej zniszczone wojną okolice Małopolski (Gorlice), tereny Zamojszczyzny i Podlasia. Wynikiem tych wędrówek jest między innymi książka „Oporni”, wydana z opóźnieniem w roku 1919, dotycząca martyrologii Ziemi Chełmskiej w okresie zaborów. Społeczne zainteresowania wyrażają się wypadami na Spisz i Orawę — stąd artykuły o tych terenach plebiscytowych. Przedtem jeszcze w poszukiwaniu stałej pracy dziennikarskiej otarł się Wiktor o Przemyśl i Lwów, ale niedługo wrócił do Krakowa nie rzucając umiłowanych Pienin. Krótki kontakt z Przemyślem wyraził się w parę lat później wydaniem w Przemyślu obszerniejszej powieści pt. „Burek” — o bohaterskim psie, przyjacielu dobrego człowieka. Przyniosła ona autorowi znaczny rozgłos i opinię następcy Dygasińskiego i rozpoczęła serię powieści i opowiadań o zwierzętach („Tęcza nad sercem”, „Srogie pies i sentymentalny zajac”, „Eros na podwórzu”).

W grudniu 1927 r. wybucha pożar w znanej bibliotece Tarnobrzeskiej w Dzikowie koło Tarnobrzega; w obronie bezcennych skarbów kultury ginie wtedy kilka osób. Wiktor chwytając na gorąco za pióro i pisze artykuł „Tragedia dzikowska tragicznym ostrzeżeniem”, piętnując z tej okazji zaniedbania w dziedzinie ochronyabytków kultury — i domagając się (warto przypomnieć) upaństwowienia prywatnych zbiorów magnackich.

W r. 1929 wyjeżdża Wiktor na kilkumiesięczny pobyt do Francji, by przyrzeć się bliżej środowisku naszej emigracji. Nie tej z wielkich hoteli i salonów, ale tej z suterenu, nor i przytułków. Badał pisarz życie i poniewierkę naszej emigracji robotniczej i chłopskiej nie z papierowych informacji, ale z bezpośredniej obserwacji załuków paryskich i nie tylko paryskich. Wstrząsający, realistyczny obraz naszej emigracji we Francji (nawiasem mówiąc sprzed okresu kryzysu lat 1930—1934), jaki dał Wiktor w dwutomowych „Wierzbach nad Sekwaną” poruszył opinię publiczną w Polsce i doczekał się 6 wydań, w tym 3 po wyzwoleniu.

A potem przyszła wspomniana już najbardziej popularna chyba „Orka na ugorze”. Przyszły też pierwsze wyróżnienia, jak np. krakowska nagroda literacka w roku 1936.

Ostatnie 4 lata przed wybuchem wojny zaznaczyły się wzrastającym udziałem pisarza w ówczesnych wydarzeniach politycznych. W czasie strajku chłopskiego w roku 1937 Wiktor stoi jasno i wyraźnie po stronie chłopów. Jest świadkiem krwawych zajęć w Kasince Małej; uchwycił je piórem na gorąco, ale wydać mógł dopiero w roku 1953 w tomie „Przed

(Dokończenie na str. 4)

(Dokończenie ze str. 3)

świtaniem"; legalnie nie mógł tego drukować przed wojną.

Na kongresie Stronnictwa Ludowego w roku 1938 (choć nie był jego członkiem) przemawia mocno i odważnie, co również nie pozostało bez wpływu na opinię publiczną.

Okres okupacji spędza Wiktor na przód w Szczawnicy, potem w Krakowie; musiał się kryć przed gestapo, bo przecież w roku 1933, niedługo po uchyceniu przez hitlerizm władzy w Niemczech, jeździł na Śląsk Opolski; wynikiem tego wyjazdu był cykl artykułów zamieszczonych w prasie krakowskiej, a piętnujących prześladowania Polaków na Opolszczyźnie. Pracując formalnie w spółdzielczości Wiktor pochłonięty był wtedy działalnością opiekuńczą, ratowaniem i pocieszaniem ludzi. Pisze na razie „do szuflady” nie wydany dotąd pamiętnik z czasów okupacji.

Po wojnie z niewygasyłym entuzjazmem młodzieńczym staje znowu do pracy literackiej i społecznej. Jest przy narodzinach miesięcznika „Twórczość”, przemawia w Krajowej Radzie Narodowej, jest w latach 1952–1956 posłem na Sejm, jeździ z wieloma wieczorami autorskimi. Wiele reportaży i artykułów poświęcił sprawom chłopskim; pisał nie tylko o kulturze ludowej, ale przede wszystkim wskazywał na procesy przemian społecznych na wsi, na znaczenie czytelnictwa, rozwój oświaty.

Wśród tych artykułów, zawartych między innymi w zbiorze „Kłosa na ściernisku” — zwraca uwagę reportaż „Z wiosennych wędrowek”, gdzie Wiktor opisuje swój 2-tygodniowy objazd po miasteczkach województwa rzeszowskiego. Jest to jedna z perełek tego tomu, interesująca przede wszystkim mieszkańców tego województwa.

Prócz wznowień ukazało się po wojnie parę nowych powieści: „Skrzydlaty mnich” — to rzecz o uczonego mnicha z Czerwonego Klasztoru w Pieninach, który próbował unosić się w powietrze. „Zbuntowany” — to powieść o nowych siłach i dążeniach wsi polskiej z główną postacią wikaręgo, który buntuje się przeciw hierarchii kościelnej.

W dużej powieści „Papież i buntownik” sięgnął Wiktor do tematyki historycznej, cofnął się do wieku XV. Jest to rok 1415 — sobór w Konstancji. Są na nim i Polacy, broniący

odważnie interesów Polski w sporze z Krzyżakami. Niektórzy z nich zbliżają się do Jana Husa, walczącego o niepodległość narodu czeskiego — przeciw bogatemu klerowi niemieckiemu. W książce Wiktora myślami Husa przejęli się ks. Jakub z Chwałowic i Jan z Radomyśla oraz ich przyjaciel — Pietrek. „Nic nie wskórasz litością i współczuciem. Krzykiem serca, choćby ubroczonego krwią skrzywdzonych, nie odmienisz życia”. — takie zdanie wypowiada Pietrek w toku rozmowy. Sformułowanie to jest wyrazem dalszego rozwoju światopoglądu pisarza, dalszej radykalizacji jego postępowej myśli.

W „Papieżu i buntowniku” uczył również pisarz swój „kraj lat dziecinnych”. Jan z Radomyśla, postać fikcyjna — jest pozytywnym bohaterem, a skromna osada murarska została umieszczona w powieści.

W 1953 r. — jak wspominałem — obchodził Wiktor 40-lecie pracy pisarskiej. Otrzymał wtedy Order Sztandaru Pracy. W trzy lata później — po raz drugi — nagrodę literacką miasta Krakowa, w roku 1959 Komandorię Orderu Polski Odrodzonej. W roku 1961 został wyróżniony nagrodą województwa rzeszowskiego. Uczestniczył wtedy w zjeździe pisarzy pochodzących z województwa rzeszowskiego, nie zapominając nigdy o swych stronach rodzinnych. Latem gimnazjalnym poświęcił osobną książeczkę pt. „Prześwietlone wspomnienia” — wydana w r. 1958.

Oto garść informacji o pisarzu i jego (nie wszystkich zresztą) książkach, rys bardzo pobieżny i ogólny.

Wydaje się, że nie będzie przesadą, jeżeli określimy Wiktora jako spadkobiercę idei Żeromskiego. Od lat szkolnych, kiedy jako młody chłopak zaczytywał się w „Syzyfowych pracach”, aż do chwili obecnej — Wiktor stoi pod przemożnym wpływem autora „Ludzi bezdomnych”. To samo gorące serce, buntownicza postawa wobec moźnych tego świata, spalanie się w służbie idei, przewaga uczuciowości, wrażliwość na krzywdę ludzką.

Jan Wiktor starał się w przeszłości i dzisiaj budzić sumienie narodu, przeciwdziałać „znieczulicy”, jak się to dzisiaj określa. Zapewnia mu to godne i trwałe miejsce w literaturze polskiej. Ad multos annos!

Tadeusz Stanisław

Po długim nadzwyczaj oczekiwaniu otrzymaliśmy wreszcie za pośrednictwem Wydawnictwa Lubelskiego tom **Wierszy Józefa Czechowicza**. Tom, choć odnotowano to tylko w przedmowie, otwierający dzieła zebrane poety. Informacje o zamierzonych Wydawnictwa względem Czechowicza budzą entuzjazm i wdzięczność. Ich spełnienie będzie miało zapewne decydujące znaczenie dla zapoznania możliwie najszerszego kręgu czytelników z dorobkiem Czechowicza. Wbrew pozorom obecność jego w świadomości przeciętnego inteligenta jest całkiem powierzchowna. No i otwieranie drogi do Czechowicza poprzez zdobycie czytelników najmłodszych — to też niezły pomysł. Może okazać się bardzo owocny. Wiersze — z piętyzmem zaopatrzone w piękną szatę graficzną: dobry papier, ładny

dany, z życia autora. To zadanie najważniejsze było zresztą najprostsze. Wystarczyło po prostu uważny przedruk. Mimo to można tu zauważyć co najmniej dziesięć błędów, pomyłek i odstępstw od poprawnego tekstu poety, często bardzo poważnych.

W wierszu DO TERESKI Z LISIEUX wydrukowano „o świecie”, zamiast „o świecie”, w KSIĘŻYCU W RYNKU „fiołkowy” zmieniono na „fiołkowy”, co rzecz jasna skraca wyraz o jedną sylabę i naruszało przekształceniu na „ciężka”, w ZALU zaś w JESZCZE PEJAZ „piosenka” zamiast „piosenki”. Dziwne rzeczy dzieją się w wierszach. Jeśli poeta je stosował, to pewnie były mu użyteczne. Wydawcy poszli w ręce i dodali od siebie także wiersza w wierszu PRZECZUCIA I KOSCIÓŁ ŚWIĘTEJ TRÓJCY NA ZAMKU, nadana. Na str. 85 werset: „miedzy liry do deszcz ukośnie” zastąpił inny. Za najcięższy grzech trzeba policzyć samowolną zmianę tytułu całego zbioru poety z BLYSKAWICY na Z BLYSKAWICY. Drugi tytuł ma wprawdzie uzasadnienie w okładce, ale to wina grafika. Obowiązującą przecież kartą tytułową, no i sam Czechowicz używał zawsze tytułu W BLYSKAWICY. Zmieniwszy tytuł zbioru poety wydawcy Jeszcze dalej, mianowicie (żeby się wszystko zgadzało) utwór tytułowy z: INICJAL W BLYSKAWICY wymienili na: INICJAL Z BLYSKAWICY. Nie można takiego postępowania nazwać inaczej, jak nadużyciem prawa wydawcy.

CZECHOWICZ - MITY I MAGIA

TADEUSZ KLAK

druk, fotokopie, zakładka, płótno, obwoluta — wszystko to świadczy o dobrej chęci Wydawnictwa. Czy wysiłki te idą w parze z dbałością redakcyjną — zobaczmy.

Nowy tom Czechowicza przynosi niemal cały oryginalny dorobek poetycki, w tym wiersze dla dzieci, oraz kompletny zbiór jego przekładów poetyckich. Jest więc znakomitą okazją do nowego, świeżego odczytania dorobku poetyckiego Czechowicza. Do spojrzenia na jego miejsce w konstelacji całego dwudziestolecia. Warto bowiem sprawdzić zawartość sądów obiegowych o poecie, ocenić ich przyległość do wierszy autora nuty człowieczej.

Ale najpierw o samym wydawnictwie. Trzeba na wstępie powiedzieć, że jakoś roboty edytorskiej nie odpowiada szacie zewnętrznej książki. Bo też wydawcy, którzy opracowywali oryginalny dorobek poety, stali przed arcytrudnym zadaniem. Zaden inny współczesny poeta takich trudności nie powoła. Zadanie najważniejsze brzmiało tak: dać jak najwierniejszy tekst kanoniczny utworów Czechowicza, a więc objętych tomami wy-

Jeśli łatwe zadanie wykonane zostało z takimi uchybieniami, to w dalszych częściach tomu liczba ich wzrasta niepomiaralnie. Trzeba oddać sprawiedliwość wydawcom tych części (Stanisław Pięta, Seweryn Pollak i Jan Śpiewak), że w wyniku żmudnych i pracowitych poszukiwań dali zbioru niemal kompletny wszystkich wierszy Czechowicza. Znalazły się tu i przedruki z czasopism, i wiersze z rękopisów, nawet okrucy wiersze z brulionów. Porównanie Wierszy z Wierszami wybranymi z 1955 roku ukazuje sporą liczbę przywróconych czytelnikowi wierszy autora Kamienia. Jednak sposób edytorskiego opracowania tych wierszy, zwłaszcza juvenillów budzi musi głębokie zastrzeżenia. Wprawdzie porównanie obecnego wydania z Wierszami wybranymi uwydatnia na pierwszy niesłychaną samowolę wydawców tomu z 1955 r., mianowicie ortografię Czechowicza rozciągnęli oni na cały dorobek Czechowicza i automatycznie usunęli duże litery, kropki, przecinki... a teraz je przywrócono, ale Jeszcze Oracz i Zabawa wbrew pierwodrukowi w prasie lubelskiej nie doczekały się poprawnego przedruku — zostały przy małych literach. Gdy porównamy utworybrane z rękopisów, udostępnionych w obu wydaniach, zaczynamy wątpić, czy naprawdę te przedruki są wierne: wiersze drukowane z tych sa-

(Dokończenie na str. 10)

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

Szansa kultury masowej

JERZY GEMBICKI

ZOKRESU rozważań teoretycznych nad problematyką kultury masowej czy kultury dla mas, przechodzimy z wolna do praktycznego modelowania licznych form działalności, mającej na celu podstawowe założenia polityki kulturalnej, a mianowicie — upowszechnienie kultury. Formy te wykują się w takich ośrodkach, jak radio, telewizja, domy kultury, teatry objazdowe, akcje muzeów wespół z instytucjami naukowymi w terenie itd. Niemalby udział biorą na swoje barki środowiska pisarzy, plastyków i muzyków. I chociaż nie mamy obecnie jeszcze dostatecznie przejrzystych badań socjologicznych, które pozwoliłyby nam na bliższe sprecyzowanie poglądu, jaki model kulturowy osiąga swój pełny kształt, mamy przeciw pewne ogólne rozważania, w jakim kierunku zmierzają te procesy, które masowemu odbiorcy dóbr kulturalnych mają zapewnić odpowiednią „strawę duchową”. Centralnym punktem tych wysiłków jest oczywiście w dalszym ciągu możliwie szeroka akcja udostępniania ludziom pracy w Polsce możliwości korzystania z bogatej i wszechstronnej produkcji książkowej, ze wzrastającej sieci bibliotek, teatrów, kin, domów kultury, kawiarni-klubów, filharmonii, oper, telewizji, prasy, radia itd. Jednakże to ilościowe zaspokajanie potrzeb nie wyczerpuje zagadnienia, jakiego typu model kulturo-

wy zostaje przy tym podniesiony do rangi wzorca, orientującego w przebiegu kształtowania gustów i nawyków kulturalnych wśród masowej rzeszy czytelników i widzów.

I tutaj, nie bez polemicznych bojków publicystycznych, doszła do głosu sprawa gatunków rozrywkowych, jako pełnoprawnej formu zbliżającej przeciętnego konsumenta do trudniejszych i wymagających większego przygotowania zjawisk kulturalnych. Okazało się, że rozrywka to rzecz poważna.

Tak więc poza całym istniejącym już od lat wielkim nurtem o charakterze raczej oświatowym, podnosi się nowa fala twórczości obliczona na podbudzenie wrażliwości i zainteresowań szerokiego odbiorcy w dziedzinie wszelkich rodzajów poczynań artystycznych. Jest to w Polsce sprawa o tyle niebagatelna, że te pierwsze próby krystalizowania się stylów pod kątem masowego odbioru, zawierają w sobie zapowiedź dalszego rozwoju, decydują o wyborze pewnych stałych wartości, a także o rezygnacji z przejściowych elementów dyktowanych modą. Zastanawiając się nad tym aspektem zagadnienia, wszyscy prawie publicyści zgadzają się co do konieczności przybliżania w dalszym ciągu społeczeństwu sprawdzonych już wartości z dziedziny klasyki, przy jednoczesnym lansowaniu współczesnych treści i form udostępnianych przez masowe środki przekazu. Wchodzą tu więc w grę słuchowiska radiowe i telewizyjne, nagrania płytowe, teatry objazdowe, a także liczne wieczory autorskie pisarzy, występy zespołów tanecznych i wokalnych — zawodowych i amatorskich. Jedno jest już dzisiaj pewne: że akcja upowszechniania kultury w Polsce w sposób zdecydowany oderwana jest od celów merkantylno-reklamowych, nie istnieje więc potrzeba schlebienia gustom czy interesom pewnych grup czy grupek tworzących się na zasadzie zależności finansowej. Stąd istnieje obiektywna gwarancja, że można u nas sta-

wić przed autorami pewne wymagania w zakresie treści i formy. Żeby powiedzieć wyraźniej, można liczyć na pewne wartości wychowawcze i ideowe zawarte w utworach przekazywanych masowo społeczeństwu. Oczywiście, nie idzie tu o ciasno pojmovaną dydaktykę, lecz o nawiązanie więzi między twórcami kultury a obywatelami na tematy nurtujące człowieka współczesnego. Mądre, wyważone, bez przymusowego nacisku uwzględnianie tych założeń wychowawczo-ideowych, pozwała twórcom w wielu dziedzinach ich pracy zbliżyć rzeczywistość konkretny obraz stosunków i konfliktów charakterystycznych nasze czasy. Z pozoru takie stawianie sprawy może się wydać zbyt zasadnicze, nudziarskie i drętwe. Ale tak nie jest.

Te miary i te intencje w ogólnym ruchu kulturalnym nie ingerują oczywiście w takie zjawiska jak jazz, bigbeat czy muzyka taneczna i rozrywkowa. Ale jeśli już idzie o słuchowiska, literaturę rozrywkową, popularne programy estradowe, sprawa nabiera swego sensu i znaczenia. Przy ocenie takiego programu należy mieć zawsze na uwadze, że w Polsce dokonuje się istotnie rewolucja kulturalna, i że poczucie odpowiedzialności wobec milionów nowych konsumentów kultury — zobowiązuje. Np. dane za rok 1961 mówią, że w teatrach dramatycznych i lalkowych, operach, filharmoniach, operetkach i na występach zespołów było blisko 19 milionów osób. Ze miliony ludzi odwiedzają wystawy malarstwa, rzeźby i fotografii. Ze miliony ludzi nabywają książki i czasopisma literackie, których bardzo często brak jest w kioskach i księgarniach. Ze niektóre pozycje wydawnicze rozchodzą się dosłownie w ciągu kilku dni! Stąd uzasadniona troska o podnoszenie poziomu utworów artystycznych, zdecydowana walka wypowiadana wszelkiej szmirze. Oto drobny przykład pozytywnej działalności z dziedziny muzyki. Krajowa Agencja Muzyczna przystąpiła ostatnio do akcji

upowszechniania muzyki na drodze umów z uzdrowiskami i domami kultury, gdzie będą występowały zespoły muzyki poważnej i rozrywkowej, których poziom i kwalifikacje zostały zweryfikowane przez grono fachowców. W ten sposób eliminuje się przypadkowych, niedouczonej „grajków”. Dalej. W trosce o podniesienie poziomu piosenek powstają jakby studia doświadczalne w lokalach kawiarniarnych („Pod Gwiazdami”, „Nowy Świat”, „Rytm”). Są to jakby teatryki, w których biorą udział piosenkarze zakwalifikowani przez komisje składające się ze znanych kompozytorów i znawców muzyki. Adepti tych szkółek studyjnych uczą się dykcji, choreografii, interpretacji tekstów itp. Wieczorem występują przed publicznością. Powstało także studio piosenki przy Polskim Radio. Takich inicjatyw jest coraz więcej. Zarówno w miastach, jak i w miasteczkach i na wsi powstają nowe placówki o określonych zadaniach kulturalnych, rozszerza się geograficzny zasięg ich działalności. I dlatego istnieje u nas szansa celowego wyboru modelu kultury masowej, szansa wynikająca z samego momentu startu, który pozwala na odrzucenie starożytnych i nieprzystających już historycznie wzorów na rzecz wartości współczesnych, nowatorskich. I dlatego ogólny proces kształtowania się tych zjawisk kulturalnych wymaga niesłychanej troski i uwagi ze strony nie tylko samych działaczy i twórców, ale również i opinii publicznej, naszej publicystyki w prasie codziennej i periodycznej. Równocześnie praca teoretyczna, ukazująca się raczej „od wielkiego dzwoonu”, powinna nasycać się żywą problematyką codzienności, czerpać swoje syntezę i uogólnienia z praktycznych doświadczeń, zarówno z błędów, jak i osiągnięć. Dyskusja na te tematy jest wciąż otwarta i nie może na niej ciążyć sezonowość i stonowany zapał. Świadoma bowiem i realny postawa wobec tego problemu współdecyduje o rozwoju kultury w Polsce.

LUBEKA

K ARNY obóz lubecki rozciągał się na wzgórzu w środku miasta. Był idealnym celem w czasie bombardowania miasta, gdyż obok niego znajdowały się wielkie gmachy artylerii przeciwlotniczej — pełne armat. Toteż obóz ten przeżył dwa wielkie naloty angielskie. Było to pierwsze większe bombardowanie Lubeki. 28 marca 1942 r. Anglicy rzucili na obóz kilka bomb, spaliły się 2 baraki. Zginął wtedy major Henryk Skaczyla, a wielu zostało rannych. Drugi nalot był 27 września 1944 roku około godziny 10 wieczorem, kiedy to od bomb zginęło 91 oficerów, a ze 120 zostało rannych. Lecz mnie już wtedy w obozie nie było.

Po przybyciu do obozu grupa nasza została odpowiednio potraktowana i przez 2 miesiące trzymano w rewizji nasze bagaże; przez ten czas nie przychodzili paczki, listy itp. Obóz mieścił się w 20 barakach bardzo ciasno postawionych, bardzo brudnych i zapluskwionych. Obóz był międzynarodowy. Na około 400 jeńców było około 70 Francuzów — zwolenników de Gaulle'a, 6 Czechów, około 20 generałów belgijskich — cały sztab belgijski i kilkunastu oficerów, cały sztab jugosłowiański, a reszta Polacy — wybrani z różnych obozów. „Podejrzani”.

Grupa naszą przyjął u wrót sam komendant obozu płk Ereiher von Wachmeister — stary, typowy junkier pruski, kawalerzysta. Przyjął nas przemówieniem zięjącym nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Usiłowaliśmy na końcu przemówienia, że on się nam odwdzięczy za zabicie mu w czasie działań wojennych na froncie jego syna. Jedynym polskim wyższym oficerem był gen. Piskor, którego zachowanie było pełne godności. Grupa polska była bardzo ruchliwa, czynna, pełna pomysłów. Z różnych narodowości byliśmy najgorzej traktowani. W grupie francuskiej było chyba 15 czy 16 różnych Rotschildów. Otrzymywali oni mnóstwo paczek i systematycznie, co miesiąc, odwiedzał ich przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Grupa jugosłowiańska utrzymywała z nami najbardziej serdeczne stosunki. Jeden z nich, kpt. Dargicz, uciekł z obozu do Polski, wziął udział w partyzantce i zginął w Górach Świętokrzyskich.

Najbardziej jednak strzeżone w obozie były 2 osoby — Jakub Długaszewski, syn Stalina z pierwszego małżeństwa, i kot. Blum, syn ówczesnego premiera Francji. Sensacją obozową był, oczywiście, Długaszewski. Otóż pewnego dnia na apelu sostrzeżeniem w części obozu oddzielonej od nas drutami kolczastymi jeńca w radzieckim płaszczu wojskowym, w furaczkę, wysokich butach z cholewami, lekko pochylonego. Niemcy jeszcze tego dnia ogłosili, iż jest to pułkownik radziecki Makarow. Już jednak tego samego dnia wiedzieliśmy od naszych żołnierzy wychodzących poza obóz, którzy normalnie przynosili zawsze wiadomości, że jest to syn Stalina. Dowiedzieli się, że jest on bez paczek, bez listów, pod specjalną ochroną. Zorganizowano zapatrzenie go w paczki, bieliznę, książki. Początkowo krepowało to go, ale wkrótce przyjaźń była nawiązana i utrzymywana do końca naszego pobytu w Lubecie.

Był to mężczyzna około 35 lat, z twarzy i postawy podobny do Stalina, niewysoki, bardzo inteligentny, kulturalny i towarzyski. Z zawodu był inżynierem, specjalistą motorów Diesla. Sam opowiadał, że do niewoli dostał się w kotle koło Smoleńska. Niemcy wszystkich oficerów rozstrzelali, gdy przyszła kolej na niego, „załamano się”, jak sam mówił, i przyznał się, że jest synem Stalina. Odwieziono go natychmiast samolotem do Berlina, torturowano, a gdy okazał się twardy — przewieziono go do obozu w Lubecie, który miał opinię bardzo dobrze strzeżonego. Mieszkał on w specjalnym pokoju w wydzielonej części niewielkiego baraku. Gdy wychodził na plac obozowy, stale szło za nim dwóch wartowników; gdy był w pokoju, widział stale oczy wartownika wlepione w niego przez ot-

— *Halt!* Ten okrzyk za moimi plecami bynajmniej mnie nie zelektryzował. To było zwykłe następstwo rzeczy. Było ich trzech. Szare mundury obramowane czarnymi wypustkami, które na końcu rękawów tworzyły pętle przypominające karciane trefle. A powyżej nich trójkątne tarcze podstawą zwrócone do góry z dyskretnym napisem *Sonderdivision*.

Dotychczas żołnierzy SS z tego typu formacji nie spotykałem w Lublinie. A właściwie raz jeden, zaraz na początku okupacji, podczas przesłuchania, któremu zostałem poddany, natknąłem się na osobnika w podobnym mundurze. Napis na tarczy był podobny: *Sonderdienst*.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że jest to organizacja do jak najbardziej specjalnych zadań, potocznie nie ujawnianych nawet członkom partii. *Sonderdienst* był niby sztabem, komórką zwierzchnią, która ma do swej dyspozycji właśnie owe specjalne dywizje. Członkowie *Sonderdienstu* stanowią prawie zakon rycerski, który swe mroczne zadania wykonuje niemal rytualnie. Żołnierze dywizji to knechty, ale specjalnie tresowane i przyuczane do całkowitego milczenia. Dogli, najbardziej intymnych niemieckich celów, które zagryzają na śmierć, ale nie szczebioczą, nie wydają żadnych odgłosów.

Ten, wówczas przy badaniu, zachowywał się jak manekin, albo lepiej: jak robot. Na twarzy przesłoniętej okularami nie było żadnej myśli, stanowiącej koniec nitki, którą można by uchwycić i wsunąć się w labirynt jego osobowości. Labiryntu nie było, była tylko powierzchnia. „*Sonderdienst*” obserwował mnie przez okulary, za którymi, mimo że były przezroczyste, nie widać było oczu. Jakaś szklista płytka. I ta płytka i okulary stanowiły całość, która poruszała się i drgała, krusząc wszystko to, co stanowiło punkt jej obserwacji. Gdy patrzyła na mnie, to w sposób jakby elektroniczny (właściwy robotom), robiła zestawienie wszystkich najmniejszych nawet szczegółów mojej osoby, tych widocznych i niewidocznych. Robiło to wrażenie studium promiarowego. I w ciągu całego przesłuchania nie odezwał się ani razu — ani do mnie, ani do swych współtowarzyszy.

Sylwetki tych zniecałota spotkań na ulicy były podobne do niego. Różnicę stanowił tylko kaliber fizyczny. „*Sonderdienst*” był drobniejszy, delikatniejszy w budowie, przypominał wyrób z plastiku przeznaczony na pokaz. Oni zostali wybrani z uwzględnieniem rodzaju specjalności, do której zostali przeznaczeni. Wysocy ale szczupli. I choć żaden z nich nie miał znamion brutalnej rozroźności, jaka często cechowała zwykłych SS-manów, byli niewątpliwie osobnikami dużej siły fizycznej. W skojarzeniu przypominali sprężyny.

— *Halt!* Ten okrzyk zabrzmiał po raz drugi. Bez zbytecznego pośpiechu (długoletnie ćwiczenie) zatrzymałem się i nie wyjmując ręk z kieszeni odwróciłem się. Tak to było pod moim adresem. Nieliczni przechodnie szybko usuwali się na bok i przechodzili pośpiesznie na drugą stronę ulicy. Jeden z tej trójki trzymał dłoń na kaburze pistoletu. Drugi stał w rozkroku i dłonie oparł na biodrach. Trzeci... Twarz jego zaczęła mi drgać i migotać. Rudy, baczki skręcone w kosmyki, nos haczykowaty. Ale nie te szczegóły były najbardziej znamienne. Tylko skóra na twarzy i oczy. Skóra białoniebieska z polyskiem waniliowego mleczka, takiego, jakie dobra mamusia daje dziecku. A oczy, oczy poruszały się jak u lalki — w górę i w dół, choć figura nie poruszała się. Duże porcelanowe oczy. Miśnieńska statuetka ożyła, powiększyła się do rozmiarów zwykłego człowieka i wyszła na ulicę w towarzystwie dwóch innych figurinek. Ich twarze nie były tak wyraziste — kolorystyka nikała w cieniu porcelanowego polysku.

Te obserwacje przyniłem w ciągu kilkunastu sekund pozornie spokojnego patrzenia w ich stronę. A i oni patrzyli uparcie. Trzy koty przed skokiem na ludzką mysz.

— *Bitte. Was wollen Sie?* — spytałem pozornie niedbale.

wór w drzwiach. Podobnie strzeżony był syn Bluma.

Jakuba Długaszewskiego początkowo nie można było odwiedzać. Pewnego jednak dnia Niemcy ogłosili, że odwiedzanie jest możliwe, ale dodali, że odwiedzać go będą tylko komuniści lub partyzanci o komunizm. Oczywiście ten rozkaz niemiecki wywołał dużo śmiechu i odwrotny skutek. Na listę odwiedzających zapisał się chyba ca-

Pytanie to zmieniło sytuację. Zniknęła mysz, zniknęły koty. Trzy figury ziały nieruchome postawy. Spodziewały się czegoś innego. Przykład nerwowej próby ucieczki... Zdetonowały się na moment.

Srodkowa figura poruszała rękami, odchrząknęła i wycedziła: — *Wo ist Krakauer-strasse?*

Patrzyłem chwilę. — *Krakauer-strasse — powtórzyłem. — Bitte, gerade, erste Strasse links und gerade.*

Informowałem bez pośpiechu. Taką zwykłą rzecz. Ktoś nie zna miasta, pyta więc przechodnia, a ten w sposób zwykły udziela informacji.

(Ale podteksty sytuacji były inne i o co innego chodziło). Pytanie było pretekstem, odpowiedź nie ta.

Figura, która trzymała dłoń na kaburze pistoletu, opuściła rękę, a dwaj pozostali powoli odwrócili się ode mnie.

I ja bez pośpiechu uczyniłem to samo. Ruszyłem. W prawo była bożna ulica. Skręciłem i zacząłem iść szybko. Kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt kroków. Instynktownie obejrzałem się. Na rogu stali wszyscy trzej (a więc nie poszli we wskazanym kierunku) i patrzyli w moją stronę. Wszedłem do bramy. Ta, znana mi dobrze, była przejściowa. Pobiegnę i wkrótce wyszedłem na inną ulicę.

W godzinach popołudniowych dowiedziałem się, że do Lublina przybyła dywizja niszczyteli, *Vernichtungsddivision*.

Czasy okupacji były dżunglą, prawa nią rządzące wydobły i zaktualizowały pewne zjawiska. Na przykład łączność i informacja. Nigdy w normalnych czasach plotka nie rozchodziła się tak szybko, choć plotki są lotne, jak informacje w owych czasach. Nieraz w niespełna godzinę duże miasto wiedziało więcej, niż tego mogli życzyć sobie hitlerowcy. Wszystko wybijało swój takt. I słowa, i spojrzenia, i kroki, i odruchy. W ważnych chwilach tłum rytmizował się, stawał się tam-tamem, słynnym bębniem, nazywanym telefonem dżungli. Alarmowemu bębnieniu towarzyszyły oszczędne słowa: *Pan wie, pan wie, gdzie, tam, kiedy, dziś, uwaga...*

Każdy mówił do każdego, nieznanemu do nieznanego — wszyscy stanowili wspólną centralę nadawczą i odbiorczą.

Tym razem podziemny wywiad zawiodł. Chwilowo nie był w stanie ustalić celu przybycia tej nietypowej dwójki. Nie wiedzieli również urzędnicy niemieccy i nawet pewne wyższe postawione szyszki.

Ale wszyscy czuli, że coś się stanie.

W dniu 3 listopada 1943 roku we wczesnych godzinach rannych ruszyli kolumny z ulicy Lipowej. Byli to Żydzi. Jeńcy wojenni, których Niemcy zatrudniali w warsztatach. Zwykle pracowali cały dzień, a o zmierzchu w kolumnie czwórkowej wracali do swych baraków nie pilnowani przez nikogo. Tym razem było inaczej. Podzieleni na kilka grup i otoczeni liczną eskortą uzbrojoną w pistolety maszynowe podążyli w kierunku Majdanka.

Również z Majdanku Tatarskiego, gdzie było getto, wyruszyła wielotyślna gromada otoczona także czeredą uzbrojonych SS-manów i tresowanych psów. I ten tłum zestawiony w długą marszową kolumnę, napierany przez eskortę, dość szybko podążył w kierunku obozu.

Udało się ustalić, że wszyscy robotnicy kierowani do pracy przez *Arbeitsamt* oraz niemieckie oddziały techniczne, które pracowały na Majdanku tego dnia, otrzymały rozkaz zawrócenia do miasta i stawienia się do pracy nazajutrz.

Z obozu przeniknęła również wiadomość, że wszyscy Żydzi, którzy się w nim znajdowali, już o świecie zostali zgrupowani na tak zwanym piątym polu. Teren na nim poryty był

głębokimi rowami jakby okopami. Roboty przygotowawcze wykonano w niezwykle szybkim tempie.

Już w godzinach popołudniowych miasto było poinformowane dokładnie o przebiegu tego, co się stało. Informacja była upiorna. Punktualnie o ósmej rano zaczęły przez liczne megafony nastawiane na najwyższy dźwięk nadawać muzykę taneczną. Przeważały walczyki. A jednocześnie rozległ się masowy grzechot broni maszynowej tłumiony dźwiękami muzyki. Ale okoliczna ludność mimo tych tłumików dokładnie słyszała wszystko. A jednocześnie wraz z salwami zaczął wydobywać się z obozu, rosnąć i wylewać poza jego ogrodzenie rozpaczliwy śmiertelny krzyk tysięcy ludzi. Rozlegał się z siłą burzy, która nadeszła zniecałota i w której łomot piorunów walczy o lepsze z wyciem wiatru. Potworne kłębowski dźwięków i dysonansów uderzało falami krótszymi i dłuższymi tak, jakby zapadało się pod ziemię i znów wydobywało, wyrzucane na zewnątrz wybuchami.

Trwało to kilka godzin. Powoli nawałnica zaczęła słabnąć, grzechot zamienił się w krótkie dźwiękowe drgawki, burza w ucichający szum. Tylko megafony wyciskały z siebie zmęczone, sfatygowane i skrzypiące echa znad błękitnego dunaju... I to wreszcie ucichło, a raczej jakby się w niezamierzony sposób urwało. Nadszedł wczesny zmierzch. Promienie zachodzącego słońca (dzień był pogodny) były czerwone.

Następnego dnia informacje były konkretne. Niemcy dokonali masowej zbrodni. Zamordowano ponad osiemnaście tysięcy Żydów. Były to resztki dużego, przetrzebionego uprzednio getta, oraz wszystkich Żydów znajdujących się w obozie.

Ocalał tylko oddział jeńców wojennych przypędzonych z ulicy Lipowej. Kazano im zasypać wszystkie doły i uporządkować teren.

Pod naporem śmiertelnego lęku część mordowanych rzuciła się na naelektryzowane druty, które pod ciężarem ciała pękły w kilku miejscach. Kilku ludzi wybiegło poza ogrodzenia. Ale tam ustawiona była tyraliera niszczyteli. Biegających powitaly kule. Podobno kilkudziesięciu ofiarom udało się wyrwać i zbiec w stronę lasu. I podobno w tej gorączkowej strzelaninie SS-mani ponieśli straty od własnej broni. Kilku zabitych i kilkunastu rannych — ubczuchna zapłata losu.

Jeńców wojennych po wykonanej porządkowej robocie załadowano na samochody ciężarowe i wywieziono do Trawnika, gdzie wszyscy zginęli, wymordowani podczas likwidacji obozu.

Sonderdivision po wykonaniu niszczytelskiej roboty otrzymała dwa dni wypoczynku. Gromadki szarych postaci włożyły się po mieście. Stanowiły jakby kłębki cieni, które oderwały się od macierzystego światła i rozproszone nieznanym powiewem płynęły ulicami. Zahaczały się o drzewa, latarnie, załomy.

Właśnie jeden z takich kłębków przesunął się koło mnie. W środku tkwił wysoki blondyn z haczykowatym nosem. Przypominał mi raptem porcelanowego rudiela. Ale to nie był on, choć jakoś standardowo do niego podobny. I też taka trochę porcelanowa twarz. W ręku miał dość długą kawałek białego błyszczącego sznura czy też kabela elektrycznego. Jeden z końców zwiłał tak, że tworzył niby pętlę. Trzymał ją w ręku w taki sposób, że wydawało się, że za chwilę zarzuci ją kłębemuś z przechodniów na szyję. Przez moment jego statuetkowe spojrzenie spojrzało na mnie. Wargi się rozchyliły i jakieś nierówne, zdegenerowane zęby wyjrzały na zewnątrz.

Prawdopodobnie był to uśmiech, który coś wyrażał.

wzledu na to, że poddał się do niewoli. Długaszewski nie ukrywał, że Niemcy w Berlinie namawiali go do pisania w gazetach niemieckich, że chcieli, aby przemówił przez radio, obiecywali, że go wymienią na 4 generałów niemieckich. Jestem przekonany, że Długaszewski mówił prawdę. Niemców nienawidził. Gdy wchodził

Wszystko dobre, co się dobrze kończy

BOLESŁAW
BARTOSZEWICZ

DZIAŁO się to przed dwunastu laty. Na wiejskiej świetlicowej scenie państwowego teatru z wojewódzkiego miasta wystawiał jedną z kameralnych sztuk Jerzego Lutowskiego. Nie jakiś wielki dramat Wyspiańskiego, wymagający porządnej sceny, jeszcze porządniejszego zaplecza, tłumy statystów i skomplikowanych świateł. Powtarzam: sztuka była kameralna, mieściła się na małej przestrzeni. A jednakże grana na wiejskiej scenie uproszcza się tak dalece, że stała się właściwie karykaturą. Kiedy po przedstawieniu zwróciłem się ze swoimi wątpliwościami do aktorów, przyznali mi bez wahania rację. Powiedzieli nawet, że są zażenowani.

O co w całej sprawie chodzi? Otóż przykład ten — jeden zresztą z wielu, bo podobnie stało się też z „Odwetami” Leona Kruczkowskiego — pokazuje, że w nieodpowiednich warunkach technicznych, w byle jakim wnętrzu — niepodobna wystawiać sztuki teatralne w wykonaniu normalnych zawodowych teatrów. Taka właśnie sytuacja — z nielicznymi zupełnie wyjątkami — istnieje na polskiej wsi. I dlatego wszystkie owe statystyki z lat pięćdziesiątych mówiące o tym, ile to spektakli Szekspira i Słowackiego, Schillera-autora i Schillera-inscenizatora powieszono w daleki, najdalszy teren, do wsi włącznie, nie oddawały rzeczywistości. Przedstawienia te odbyły się, a jakże! Liczby mówiły prawdę. Nie brano jednakże w statystykach pod uwagę, w jakim stanie są owe spektakle, realizowane w najbardziej nieodpowiednich warunkach. Dziś wydaje się zupełnie oczywiste, że kolosalny wysiłek aktorów, trudy poniesione w objazdach, wielkie sumy pieniężne i wszystkie inne rzeczy które się z tym wiązały i temu służyły — nie dawały wyników, na jakie czekano. Nie tylko nie wychodzili obaj Schillerowie, nie wychodził też Lutowski. Powiecie: nie zawsze wychodził on również na prawdziwej scenie. Być może. Ale to już naprawdę inna sprawa.

Jak się więc rzekło, objazdy realizowane na zasadzie byle dalej i byle więcej nie zdają egzaminu społecznej przydatności. Kiedy stało się to oczywiste, duża część naszych terenowych teatrów zrezygnowała bądź to w części, bądź nawet zupełnie z objazdów, wpadając w ten sposób z jednej skrajności w drugą. Nie trzeba być filozofem, by wiedzieć, że obie skrajności są równie fałszywe. Biegun południowy wcale nie jest cieplejszy niż biegun północny. To przecież żenująco oczywiste. Dlaczego np. nie pokazują swych przedstawień poza własną siedzibą takie teatry jak bydgoski? Istnieje wprawdzie w Grudziądzu Teatr Ziemi Pomorskiej, który nie robi, tylko jeździ i jeździ, ale to bynajmniej nie załatwia jeszcze całej sprawy, nie nasycy przedstawieniami wszystkich miast Pomorza i Kujaw wyposażonych w przyzwoite sale z porządnymi scenami. Tygodniami, a nawet miesiącami, świeci pustka piękna, duża, doskonale wprost wyposażona, sala widowiskowa Powiatowego Domu Kultury w Raciborzu na Opolszczyźnie.

Powiedziałem: miasta wyposażone w przyzwoite sale. Teatry prowadzące dziś działalność objazdową docierają właśnie do takich miast i tam się już zatrzymują. Jest tam wszędzie przede wszystkim powiatowy, miejski lub zakładowy dom kultury, w którym można z powodzeniem grać. W coraz większej liczbie miast są placówki kulturalne ze scenami i salami nieczym w teatrze zawodowym. Wspominałem o Raciborzu. Podobną salą pyszni się Mrągowo w województwie olsztyńskim, gdzie otwarto nowy PDK, w którym odbywały się — jak to powszechnie wiadomo — uroczystości centralne inauguracyjne tegoroczny sezon kulturalno-oświatowy.

Postulując więc prowadzenie działalności objazdowej, gdyż są coraz lepsze po temu warunki w miastach powiatowych i wydzielonych (to pod adresem takich teatrów, jak np. bydgoski i niektóre jeszcze inne) równocześnie musimy stwierdzić z niepokojem, że teatr prawie w ogóle nie dociera dziś na wieś. Nie ma na wsi, jak ustalił się, właściwych warunków technicznych. Słuszne więc, że teatry nie robią głupstw, byleby tylko wykonać plan objazdowy, że nie grają w nieodpowiedzialnych warunkach. Ale ta słuszność nie zmienia faktu, że wieś polska pozbawiona jest teatru z prawdziwego zdarzenia. Rozmawiałem np. z działaczami kulturalnymi w Siedlcach, dokąd przyjeżdżają teatry od czasu do czasu, na temat wiejskiej widowł.

Niestety, mieszkańcy z okolicznych wsi są na przedstawieniach nieobecni. To samo powtórzyło się w Lipnie, w województwie bydgoskim, dokąd zaglądały lepsze i gorsze zespoły, wśród nich ruchliwy teatr z Grudziądza.

Powie ktoś: do powiatowego miasta tak przecież blisko ze wsi. W powiatowym mieście tak się przecież często bywa. Wszystko to oczywiście prawda. Cóż jednak z tego, skoro nie ma czym wrócić na wieś do domu po spektaklu, bo ostatni autobus PKS odjeżdża późnym popołudniem? Zostać na noc w powiatowym hotelu? Przede wszystkim taka teatralno-hotelowa przyjemność byłaby zbyt droga, zajęłaby zbyt wiele czasu i w ogóle byłaby nierealna. Dla upowszechnienia kultury teatralnej na wsi musi być przede wszystkim rozwiązany problem komunikacji. Zanim zaczniemy się zastanawiać, czy teatry objazdowe mają odpowiedni repertuar dla tzw. nieprzygotowanego widza, przede wszystkim zaś widza wiejskiego, musimy wiedzieć, co na ten temat ma do powiedzenia ów widz. Dziś nie ma do powiedzenia nic, bo właściwie nie bywa w teatrze. Nie jest więc faktycznie widz.

Jest jednakże widzem potencjalnym. Uczynienie z niego widza faktycznym jest dziś pilnym zadaniem tych wszystkich, którzy nie tylko bezpośrednio, lecz również pośrednio, są odpowiedzialni za upowszechnienie kultury w Polsce powiatowej i gromadzkiej. Przede wszystkim mogą tu pomóc same teatry objazdowe — w miarę swych własnych sił i możliwości. Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, prowadzący intensywną działalność objazdową, wypożycza swój autokar na dowożenie widzów ze wsi do miejsc postoju teatru. Po przedstawieniu odbywa się ta sama ceremonia w odwrotnym kierunku. Każdy w zasadzie zespół jeździ własnym autokarem. Każdy autokar stoi na takim objeździe bezużytecznie, zwłaszcza jeśli teatr zostaje w danej miejscowości przez parę dni. Każdy więc autokar mógłby być użyty, jak olsztyński. Teatr bydgoski — jak o tym była mowa — niestety, po terenie nie jeździ. Ale równocześnie od dwóch bodajże lat teatralny autokar dowozi widzów ze wsi na przedstawienia do Bydgoszczy. Parę złotych dopłaty do biletu wstępu — i wszystko jest w porządku.

Istotnie, byłoby w porządku, gdyby dowożenie takie stosowano wszędzie. Gdyby zwłaszcza z teatrami współdziałały powiatowe domy kultury, na których scenach odbywają się objazdowe przedstawienia. I znów będzie przykład z województwa bydgoskiego. Otóż dzięki inicjatywie kierownictwa Powiatowego Domu Kultury w Szubinie, który jest oddalony od Bydgoszczy około 30 km, pedekowskim autokarem dowożeni są mieszkańcy różnych wsi powiatu szubińskiego na przedstawienia do Bydgoszczy. Przyjeżdżają — jeśli chodzi o ścisłość — parę godzin wcześniej, oglądają miasto, załatwiają inne sprawy.

Nie jest to oczywiście przykład, niestety, typowy. Nie każdy PDK ma własny autokar, nawet w tymże samym województwie bydgoskim. Autokar teatralny też się za bardzo oddalić nie może. Dlatego też najbardziej realne rozwiązanie problemu dowożenia widzów wiejskich na przedstawienia teatrów zawodowych to stworzenie całego w skali ogólnokrajowej systemu poprzez — jak już podkreśliłem — wciągnięcie do tego działania wszystkich tych, którzy mają jakiś związek z upowszechnieniem kultury na wsi.

Wiele różnych organizacji i instytucji dysponuje przyzwoitym sprzętem transportowym. Sprzęt taki posiadają państwowe gospodarstwa rolne, których personel jest notabene najczęściej pozbawiony imprez artystycznych i w ogóle życia kulturalnego. Pomóc w tym zakresie mogłaby też spółdzielczość, która zresztą znana jest w Polsce z tego, że ochoczo łoży na różne cele kulturalne. Powiatowe domy kultury zaś winny nad tym wszystkim czuwać. To one są gospodarzem, mogłyby więc wystąpić w ważnej roli mecenasów i impresariów. Nie wystarczy, jeśli się jest centralną placówką kulturalną w powiecie, ograniczyć się do wypożyczenia sali. Jakże bardzo dziwiłbyśmy się, gdyby nam powiedziano, że rola biblioteki polega na wypożyczaniu książek — i na niczym więcej. Przeczą temu przecież fakty. W

setkach bibliotek odbywają się dyskusje, wieczory poezji, występują znani pisarze. Przybliża się społeczeństwo do literatury. Do teatru zaś przybliża się społeczeństwo — zwłaszcza wiejskie — mogłyby powiatowe domy kultury.

Wydaje mi się też, że niedobrze, iż kierownictwa powiatowych domów kultury nie mają obecnie żadnego wpływu na występujące w ich powiatach zespoły teatralne. Nie myślę bynajmniej o wpływie na sprawy artystyczne, bo to byłby nonsens. Nie uwzględniając ofiarnym powiatowym pracownikom aparatu upowszechnienia kultury warty przypomnieć, że sprawy artystyczne wymagają niezwykle poważnej znajomości przedmiotu i wielkiej odpowiedzialności. Mam natomiast na myśli to, że kierownictwa pedeków winny móc decydować o terminach przyjazdów zespołów teatralnych na ich teren, winny móc unikać dni chudych i tłustych. Tak się bowiem najczęściej obecnie dzieje, że są tygodnie nasycone imprezami artystycznymi i są takie, kiedy do nieduzego np. Krasnegostawu nie raczy zawiązać żaden nawet Dyl Sowizdrzał.

Zrezygnowawszy więc słusznie z hasła „Teatr bliżej wsi” warto realizować hasło „Wieś bliżej teatru”. Ma ono u nas szanse powszechnego powodzenia. Byleby oczywiście istniało powszechne współdziałanie w tym zakresie. Wszystko, co ku temu zmierza, zasługuje na poparcie. Warto zwrócić więc uwagę na konkurs, który pod hasłem „Wieś bliżej teatru” ogłosiło Ministerstwo Kultury i Sztuki wspólnie z „Tygodnikiem Kulturalnym” i tygodnikiem ZMW „Zarzewie”. Jest to konkurs właśnie na dowożenie widzów ze wsi na przedstawienia do teatrów objazdowych, a także na popularyzację teatru na wsi innymi sposobami, jak np. organizowanie dyskusji, zakładanie kół miłośników teatru, spotkania mieszkańców wsi z ludźmi teatru itp. Warto będzie wrócić do tego konkursu, gdyż materiały, które napłynęły z terenu do jego organizatorów, są interesujące.

Miejmy zatem nadzieję, że wspólne wysiłki nad upowszechnieniem kultury teatralnej na wsi przyniosą oczekiwane rezultaty. Będzie wtedy można — podnosząc kurtynę na powiatowej scenie, w sali wypełnionej widzami wiejskimi — pomyśleć sobie co następuje: z „być albo nie być” w teatrze widz wiejski wyszedł wreszcie zwycięsko. Można więc postawić kropkę. Bo „wszystko dobre, co się dobrze kończy”.

SPRAWA NIEPOPULARNA

JERZY DOSTATNI

NIEDAWNO odbyło się w Lublinie plenarne zebranie Towarzystwa Urbanistów Polskich. W czasie jego obrad, na marginesie zasadniczego tematu, wyłonilo się zagadnienie, któremu koniecznie trzeba poświęcić trochę uwagi. Być może stanie się ono przedmiotem dyskusji jednego z następnych posiedzeń Towarzystwa Urbanistów.

Otóż ze względów ekonomicznych słusznie od wielu lat nawołujemy, aby pod budowę wykorzystywać przede wszystkim tereny uzbrojone. Nacisk społeczny na nowe mieszkania był i jest tak duży, że mówimy tylko o budowie nowych domów, nowych dzielnic. Stawiamy je możliwie najbliższe istniejących instalacji wodociągowych i kanalizacyjnych, bo o takie właśnie podstawowe uzbrojenie terenu chodzi. Budujemy instalacje lokalne, ale potem wszystko przyłączamy do istniejących już kolektorów, zadowoleni, że dajemy lokatorom podstawowe urządzenia.

A tymczasem w Lublinie wytworzyła się taka sytuacja, że już od kilku lat balansujemy na granicy zapokojania potrzeb mieszkańców w wodę pitną. Główny system rozprowadzania wody oparty jest o sieć zbudowaną jeszcze przed 40 laty. Uzupełnianą, sztukowaną, ale wciąż niewystarczającą. Oddaliśmy przed dwoma laty nowe ujęcie wody, lecz

nastąpiło to zbyt późno. Nie wypełnia luk, jaka powstaje w okresie letnim i to nie tylko w czasie szczytowego poboru. Dalsze, nowe ujęcie powinno działać najdalej za dwa lata — ale nie będzie, albowiem dotychczas nie zaczęto go jeszcze budować. Prezydium MRN przyjęło jednogłośnie uchwałę, że większe fabryki w mieście muszą wybudować własne ujęcia. Uchwała ta jest słuszna, co i nie realna. Bo prawie nikt nie buduje — a nie mogą sobie wyobrazić, aby pewnego dnia ojcowie miłasia zdecydowali się rzeczywiście na odciecie dopływu wody do Fabryki Samochodów Ciężarowych, maszyn rolniczych czy wag. To oznaczałoby przecież unieruchomienie tych fabryk.

Jeszcze gorsza sytuacja istnieje w dziedzinie kanalizacji. Nie wiem, jakie względy decydowały przy prowadzeniu poszczególnych inwestycji. W rezultacie jednak powstały przedziwne sytuacje. Otóż według norm przyjętych w całym świecie obciążenie kolektorów powinno wynosić najwyżej 80 proc. ich technicznej sprawności. Tymczasem w pięciu głównych kolektorach w Lublinie tylko jeden mieści się w tych normach. Dwa inne znajdują się już poza teoretyczną granicą sprawności technicznej (95—100 proc.), a w jednym nawet ścieki płyną pod ciśnieniem — 120 proc. sprawności. Po prostu zachodzi przelew przez studzienki. W tej sytuacji powinna nastąpić interwencja Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej. Ale co może przynieść taka interwencja: unieruchomienie sieci sanitarnej? Niemożliwe — w kilkuset mieszkaniach powstałaby jeszcze gorsza sytuacja antysanitarna.

W Miejskiej Dyrekcji Osiedli Robotniczych, która to wszystko zbadała, obliczono także, iż nadrobienie powstałych już zaległości, jak również doprowadzenie wody i kanalizacji do projektowanego na najbliższe lata, nowego, dużego osiedla mieszkaniowego, będzie kosztowało ok. 390 milionów zł. Suma olbrzymia, a co gorsze — po jej wykorzystaniu miasto i tak nie będzie dysponowało prawie żadną rezerwą.

Skąd więc wziąć tę olbrzymią sumę? Na dotacje państwowe nie można wiele liczyć. Takich potrzeb, narastających w niektórych miastach od dziesiątków lat, jest tyle, iż nie może być mowy o przydzieleniu pełnych środków centralnych. A środki miejscowe też są ograniczone. Czyżby więc sytuacja bez wyjścia?

Nie sądzę, chociaż trzeba tu będzie podjąć decyzję raczej niepopularną. Ale nasze społeczeństwo jest wystarczająco dojrzałe, aby zrozumieć konieczność takiej decyzji. Zresztą decyzja tylko pozornie będzie niepopularna. A oto w czym rzecz.

Gdyby to ode mnie zależało, na kilka najbliższych lat obniżyłbym sumy przeznaczone na budownictwo mieszkaniowe. Po prostu dlatego, aby te nowe mieszkania nie zawiły w próżni, abyśmy nie musieli oddawać ich ludziom bez wody i kanalizacji, tak, jak już musieliśmy wstrzymać przyłączanie dopływu gazu. Taka propozycja jest oczywiście niepopularna, jeszcze bardziej niepopularna byłaby jej realizacja. Ale chyba dość chowania głowy w piasek. Grupa osób, która zdaje sobie sprawę z tego, jaki zaulek urbanistyczny weszliśmy, nie jest zbyt liczna i dlatego jej głosy są bardzo niechętnie wysłuchiwane. Ale niechcąc nie zastąpi kontrargumentów, których niestety brak.

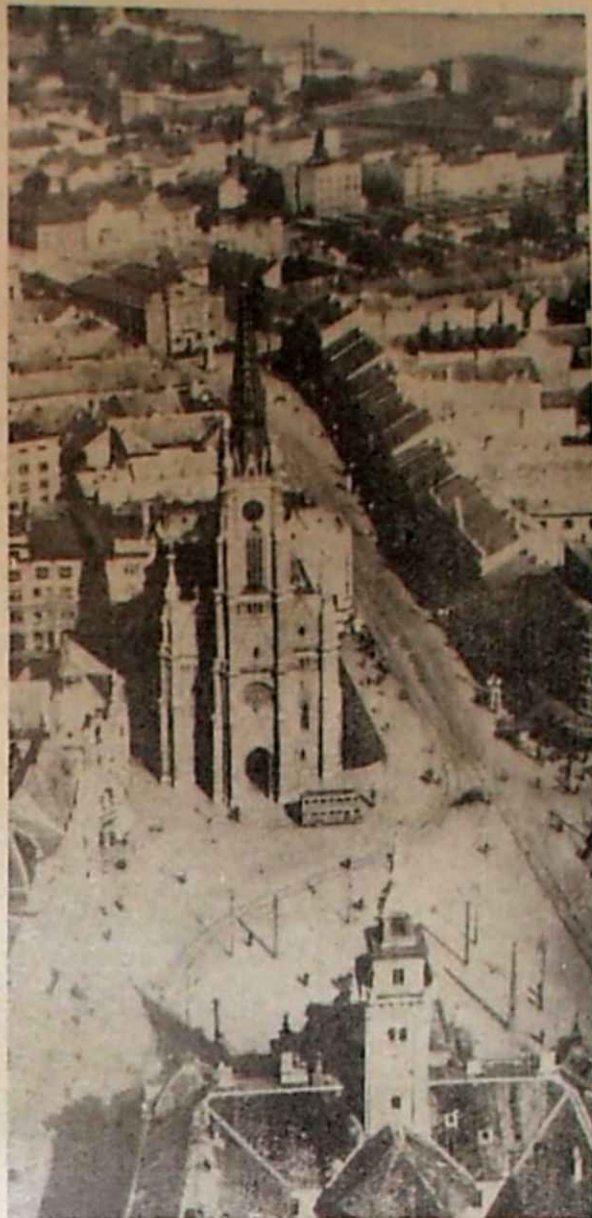
A dlaczego „rzekomo niepopularna”? Bo w gruncie rzeczy budownictwo mieszkaniowe albo nic na tym nie straci, albo straci niewiele. Przecież co roku i tak zostaje pokazana ilość milionów, których nie jesteśmy w stanie zamienić na mieszkania. Mniejsza o powody — ale tak przecież jest. Podobnie w budownictwie szkolnym, służby zdrowia itd. Nawet, jeżeli pod koniec roku wykazujemy 100 proc. wykonania planu, to prawie nigdy tego początkowego z okresu pierwotnego planowania, tylko tego, który ustalono pod koniec roku nie w stosunku do rzeczywistych potrzeb, ale faktycznego wykonania. Pieniądze albo przechodzą do innych województw, albo wracają do skarbu państwa, z czego zresztą minister finansów wcale się nie cieszył. Dlaczego tych sum nie przeznaczyc na inwestycje gospodarki komunalnej? Rzecz w tym, aby to zrobić na początku roku, odpowiednio przygotować przedsiębiorstwa wykonawcze (przecież nie te od budownictwa mieszkaniowego), zapewnić sobie materiały itd.

Nie tu oczywiście miejsce, aby przeprowadzić cały szczegółowy wywód

(Dokończenie na str. 9)

W pierwszym fragmencie mego dzienniczka podróży z Teatrem im. Osterwy wspominałam o wielkich możliwościach wymiany kulturalnej, jakie zapowiadał wrześniowy pobyt w Polsce sekretarza stanu do spraw zagranicznych SFRJ Koczyna Popowicia. Wkrótce potem wizyta delegacji Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Jugosławii, z tow. Zenonem Kluszką na czele, potwierdziła znakomicie wzajemną dążenia obu krajów do rozszerzenia swej współpracy. A oto dosłownie przed paru dniami odwiedził Polskę sekretarz do spraw przemysłu, min. Filip Bajković, którego przyjazd znamionuje bardzo efektywny wzrost polsko-jugosłowiańskiej współpracy gospodarczej i wymiany myśli naukowo-technicznej. Wreszcie przewidziane przybycie do PRL prezydenta Józefa Broz Tita będzie niewątpliwie miało doniosły wpływ na dalsze umocnienie przyjaznych stosunków między narodem polskim a narodami Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii.

Dzisiaj w świetle tej wielkiej sprawy trzeba patrzeć na takie pojedyncze osiągnięcia, jakim jest sam fakt zorganizowania wymiennych spektakli polskich teatrów a teatrów jugosłowiańskich, jakim też są nawiązane przy tej sposobności serdeczne kontakty teatralne czy pozateatralne. Ale także w świetle ogromnej odpowiedzialności za los uzyskanego korzystnego stanu rzeczy należy widzieć poszczególne realizacje owych wymian międzynarodowych. Pod tym więc kątem widzenia dokonuję wyboru moich notatek jugosłowiańskich, skreślonych na gorąco, i pragnęłabym, żeby je Czytelnik pod tym kątem widzenia odbierał.



Nowy Sad — Plac Wyzwolenia

No więc jest recenzja. Przystępuję do jej mozolnego rozgryzania, nie jestem bowiem takim znawcą serbszczyzny, jak prof. Papierkowski, któremu ten niewielki tekst starczy na jeden tyk. Hm, coś tu za dużo o młodocianej publiczności (zorganizowana widownia), którą Machulski zdobył obrzucając widzów otrzymanymi od nich kwatami — znawca serce ten Machulski, nie dziw, że kochają się w nim pensjonarki z całego Lublina... A dalej pisze życiowy M. Kujuncidz o filmowych sukcesach Jana Machulskiego, a potem opowiada treść „Bobby'ego”, aż wreszcie pada zasadnicze zdanie: aktor Machulski przewyższa w tym spektaklu Machulskiego-reżysera. Zgoda.

Odwiedziłam dziś stary dom słynnej na cały świat „Matki Srpkiej”, skąd idą w świat liczne rozprawy naukowe i dzieła literackie.

Niestety wybrałam się zbyt późno, dziś sobota, pracują krócej. Ale oto w Bibliotece instytucji ofiarnej pani Ivanka Veselinov poświęca odrobinę swego week-endu na rozmowę ze mną. Nie zatrzymuję jej długo, bo przecież coś niecoś wie się o Macierzy Serbskiej ze studiów uniwersyteckich. W tych odwiedzinach chodziło raczej o moment emocjonalny — o powstanie stopy na posadzce domu placówki kulturalnej, która w ciągu całego stulecia pokonywała dzielnie wszelkie trudności. Praca pełna powagi i dostojności, a jakże ściśle związana z życiem ludu.

Zespół „Królowej przedmieścia” wyjechał na jedno przedstawienie niedaleko stąd do pomniejszego miasta, Zrenjanina. Zostałam w Nowym Sadzie, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Miłe to jest miasto, gdzie szacowna tradycja i swojskość łączy się harmonijnie z prężną nowoczesnością. Wieczorem na scenie zwolnionej przez nasz teatr dają „Otella” Verdiego. Wiem, że SNP ma nie tylko dramat, ale i operę. Ciekawił mnie jej poziom. Otóż jest niewątpliwie wysoki. Dobre głosy, dużo inwencji w sytuacjach, staranne opracowanie ruchu, gestu i mimiki, całkowite oderwanie się scenografii od konwencji dziewiętnastowiecznej. Otwieram w półmroku program — oczywiście: inacezacja Jovana Putnika.

A propos stanu posiadania SNP. Srpko Narodno Pozorište posiada jeszcze scenę kameralną — „Ben Akiba” — w innym budynku. Nie mam pojęcia, dlaczego nie nadarzyła się sposobność jej obejrzenia. Co do głównej siedziby teatru, to mieści się on w domu kultury. Scena i widownia raczej niereprezentacyjne i zaplecze skromne, lecz „przelotowość” niepokojącego klubu wystarcza na pogwarki naszych i „lechnich” aktorów. Często można tu spotkać dyrektora teatrzyku lałkowego, Boska Žekovića, znawcę i tłumacza literatury polskiej, chętnie nami się opiekującego. Winna mu jestem moją częstką kolektywnej wdzięczności.

Nowy Sad, 20 października

Przychodzę do wniosku, że trochę za szczerze zaplanowali dyrekcijni kontrahenci czas na pobyt w stolicy Vojevodiny. Dzisiaj niedziela, dzień wolny i nie było właściwie co robić. Włóczyłam się po wytwornym Bulwarze Tita i po nadbrzeżu Dunaju, który przy jarzeniowym świetle słońca istotnie jest po strausowsku modry, w starożytności dzielnicy handlowej pieściłam platoniznym spojreniem elegancie bućki, okrycia i torebki, zresztą i w dzień powszedni niezbyt dostępne dla chudej kieszeni prawie kompletnego już bezwalutowca. Szkoda, że trochę za mało mieliśmy wycieczek za miasto, takich pięknych, jak np. do Wenecji, do patetycznego pomnika ku czci partyzantów poległych w walkach o wyzwolenie ojczyzny, czy też do XVI-wiecznego klasztoru Krušedolu, gdzie obecnie mieści się przytułek dla dzieci.

Wieczór bardzo mi się udał: byłam na „Mądrej dziewczynie” Karola Orffa, urodzonego w końcu XIX wieku, a zyskującego dziś w coraz szerszych kręgach reputację kompozytora nowoczesnego. „Die Kluge” jest niewątpliwie dziełem oryginalnym, choć słyszę w nim wyraźne echa muzyki Musorgskiego. Nie miejsce tu na recenzję, mogłabym nawet nie notować, że oczarowała mnie ta rzecz, i muzyka, i od strony wzrokowej — nie zapomniałam się o takich przedstawieniach. Tym przyjemnym akcentem zakończę moje dzisiejsze spisywanie wrażeń. Jutro rano jedziemy do Lubliny. Nowosadzkie przyjaćli zobaczymy jeszcze w drodze powrotnej. Na razie niechaj gościnni, serdeczni nasi opiekunowie trochę odpoczną od trosk, jakich myślimy im przysporzyli! Czekając na nich niebawem wielkie przygotowania do święta narodów Jugosławii. Za jakie pięć tygodni (28 listopada) będą obchodzić dwudziestą rocznicę historycznego posiedzenia, na którym antyfaszystowska Rada Wyzwolenia Narodowego proklamowała zasady mające stanowić podwalny powojennego ustroju społeczno-politycznego kraju.

O pobycie w Lublanie, Belgradzie i Suboticy mówią dalsze kartki dzienniczka.

WOJCIECH ZEJDLER

Jabłoń

Chyba jest, że soczystość owocu kryje wartość jabłoni i ziemi. Kiedy wiatru łagodny szelest jeszcze wpiszę w kształty owocu jeśli jabłko kolorów nie zmieni podyktuję i drzewem, i słońcem tak pojmując celowość zieleni.

W liściu sens. Uspokajam rodzącą.

Nowy Sad, 19 października

Nie ma mowy, dziś kładę się wcześniej spać. Nawet moje sławetne końskie zdrowie ma swoje granice: bankiet w salonach recepcyjnych Petrovaradzińskiej twierdzy, bankiet w luksusowym lokalu Hotelu Park, spotkanie w domu wypoczynkowym aktorów gdzieś daleko za miastem, w jakiejś podobno małowniczej miejscowości, o której nic nie mogę powiedzieć, bo już ciemno jak w worku. Stanowczo wolałabym już więcej uczt duchowych zwanych konferencjami prasowymi. Oszczędziłoby mi to trudu odkrywania Jugosławii na własną rękę w błyskawicznym tempie. Trudno. O czym nie dowiem się tutaj na miejscu, o tym poczytam po powrocie na ojczyznę. Dobrze i to, że nie muszę wychodzić na scenę po takim gargantuicznym jedzeniu i pić.

Teatr i varia

(2)

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Nowy Sad, 17 października, niemal o świcie

Zanotowałam już wczoraj, że tutejsza premiera naszej „Królowej przedmieścia” odbyła się w atmosferze iscie oświeczonej. Kochani nowosadzianie urządzili polskim gromadcom (aktorom) gorące owacje, aczkolwiek ci nie byli w najlepszej formie, na skutek karambolu samochodowego w Czecznosowacji i różnych niedociągnięć organizacyjnych, które dały się nam we znaki na całej rozciągłości drogi z Lublina do granicy jugosłowiańskiej. Odnosiłam te nasze niefortunne przygody dość szczegółowo dlatego, że niewątpliwie zarówno Pagar i warszawska centrala PKS, jak administracja teatrów zdobywających szansę produkowania się za granicą, powinny w więcej dbać o nienaganną wszystkich czynników, które mogą wpływać na samopoczucie artysty, a więc: o dobre przemyślanie, nieomylny układ trasy, o sprawny stan autokarów, o zapewnienie odpowiednich noclegów, o wszystkie pieczętiki wymagane na granicach, a zwłaszcza o dokładne rozeznanie w różnych sprawach odczodzących uczestników owego tournée (adres hotelu, miejsce wymiany pieniędzy itp.).

Faktem jest natomiast, że koledzy z Serbskiego Teatru Narodowego wysmienicie przygotowali grunt do dobrego przyjęcia naszych przedstawień w Vojevodinie. Już w dniu przyjazdu Teatru im. J. Osterwy do Nowego Sadu czytelnicy lokalnej gazety „Dniewnik” urzeli na pierwszej stronie swego pisma duże, efektowne zdjęcie z „Kraljicy pregradzja” łącznie z komunikatem opatrzonym tytułem „Dobrodoszlca” (Witamy), który to komunikat nie pozostawiał wątpliwości co do wysokich zalet naszego zespołu, przybywającego po nie tak dawnych sukcesach teatru Dejmka na scenach Jugosławii. Konferencja prasowa urządzona wczoraj w południe w małej sali SNP potoczyła się też jak na kółkach — powiedziałyby Francuz. Przyszło na nią dwóch przedstawicieli „Dniewnika” i trzech nowosadzkiej rozgłośni Radia, stawili się przedstawiciele prasy polskiej: Kral („Teatr”), Korneluk („Sztandar Ludu”) oraz pisząca te słowa („Kamena”). Rozmowę prowadzili dyrektorzy Hadzić i Toronczyk, a także reprezentująca Ministerstwo Kultury i Sztuki pani Stobieraj i E. Nadulski, jako kierownik Wydziału Kultury PWRN w Lublinie. Tłumaczył wypowiedzi prof. KUL S. Papierkowski. Było to już po zademonstrowaniu „Królowej przedmieścia”. Dyr. Hadzić w swym niesłychanie żywym zagajeniu podkreślił wysoką rangę teatrów polskich w opinii publiczności jugosłowiańskiej. Padło znowu nazwisko Dejmka (co zaczyna mnie trochę niepokoić).

Recenzja z „Królowej przedmieścia”, pióra Miodraga Kujuncidza, pt. „Złudny obraz słodkiego życia” okazała się bardzo przychylna. Autor jej określa przedstawienie jako czarujące, naciskając pedał przy omówieniu zalet schillerowskiej adaptacji, którą trafnie interpretował reżyser i scenograf Jerzy Ukleja. Krytyk kładzie też nacisk na rozrywkowy charakter spektaklu. Największe uznanie ma dla samej „królowej” — Felicji Jagodzińskiej, nie pomijając zresztą w pozytywnej ocenie Mikulskiego, Drozdowskiego, Teresy Mikolajczuk, Lisowskiego i Bourdy. W tym samym numerze „Dniewnika” jest interwju z J. Toronczykiem, który daje wyraz zadowoleniu z powodu występów Państwowego Teatru im. J. Oster-

parcia w miarę możliwości naszej inicjatywy. Tylko że, niestety, możliwości te ze zrozumianych względów były niewielkie, a i wyolbrzymiliśmy w naszych przypuszczeniach liczbę kolegów, którzy przyjdą na zebranie, aby nam pomóc. W każdym bądź razie zebrało się wraz z nami kilka osób. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5—10 złotych z tym, że wpłacono by już obecnie składki za czerwiec i dwa miesiące wakacyjne, aby z początkiem roku szkolnego we wrześniu mogli się ukazać numer pierwszy pisma. Bez żadnej dyskusji, przez akklamację orzeknięto na wniosek jednego z kolegów, że ja będę je redagował, a Wańkiewski zostanie jego skarbnikiem, administratorem i „wydawcą”. I grafikami — dodałem, bo w każdym zeszytzie musi się znajdować wkładka linorytowa. Oczywiście pracować będziemy honorowo. Uchwaliliśmy, że pismo będzie miesięcznikiem, ukazującym się od września do czerwca (10 numerów) z przerwą wakacyjną należną dziecku nauczycielskiemu. Na razie jeszcze nie ustaliliśmy jego nazwy.

START „KAMENY”

(I)

Zwróć uwagę na jedną znamieną okoliczność: wszyscy koledzy znali moje poglądy lewicowe, z którymi nie każdy z nich się godził, a jednak dano mi całkowitą swobodę pod względem charakteru pisma, sposobu jego redagowania i dobierania współpracowników.

Długo bieżłem się z Zenkiem nad wymyśleniem tytułu. Pamiętam, jak każdy z nas z osobna wypisywał kolumny projektów, jak potem porównywaliśmy je ze sobą. Wszelkie „Zenity” i „Nadiry”, astronomiczne „Oriony” i „Kasjopeje”, geometryczne „Elipsy”, „Trapezy” czy „Sześciany” — odpadły od razu. Pismo miało być przede wszystkim poświęcone poezji, należało więc raczej sięgnąć do mitologii. Mówiło się o „Pegazie”, „Bellerophonie” i ariostowskim „Hipogryfie”. Aż wreszcie zatrzymaliśmy się na „Syrindze” i „Kamencie”. Obie te nazwy wydawały się nam skromniejsze i nie były dotąd używane. Ostatecznie stanęło na „Kamencie”, do czego w dużym stopniu przyczyniła się ta okoliczność, że wydając przed dwoma laty „Wybór poezji” S. Jesienina w swoim przekładzie, zaopatrzyłem zbiorek w signum: Biblioteka Kamień Nr 1 i zapowiadałem dalsze pozycje w tej serii. Poza tym Kamień występowały nieraz w poezji polskiej i rosyjskiej zamiast Muz, symbolizując poezję. Rozmówiony w antyku Tadeusz Bocheński dziwił się potem: „Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Tobie, nie starożytnikowi przecież, taki tytuł wpadł do głowy i serca. Przyznaję, że tytuł to bardzo dźwięczny i bardzo odpowiedni”. I dodawał uczenie: „Camena toć przecież łacińska nazwa greckiej Muzy. Inna rzecz, że wyraz może nie jest rdzennie łaciński. Dopatrują się w nim pierwotków „świętości” i „jaśnienia”, „odznaczenia się”. Dawniej dopatrywano się wprost związku z pieśnią („carmen”).

Z tym tytułem mieliśmy potem zabawne historie. Wprawdzie w nrze drugim w sfinansowanej „odpowiedzi redakcji” powołaliśmy się na „Mitologię” Parandowskiego i cytowaliśmy jego określenie Kamień, ale wciąż trzeba było tłumaczyć, co ta nazwa oznacza. Nawet redakcje niektórych pism przysyłały egzemplarze zamienne przekreślone na adresie tytuł na „Kamień” lub „Kamerę” (ba, i dziś jeszcze jedno z pism czeskich wciąż na benderoli adresuje w ten drugi sposób, a przed wojną w spisie czasopism wychodzących w Polsce, zredagowanym przez „PAR” — Polską Agencję Reklamową, znaleźliśmy nasz tytuł w rubryce poświęconej fotografice z podaniem miejsca wydawnictwa — Chełm Lubelski). Dowcipni się z prawicy mieli okazję do złośliwych kalamburów: Kamena — komuna, kamenistyczni poeci itp.

Mamy zatem te sto złotych; mamy tytuł i drukarnię, bo zdecydowaliśmy się na zakład „Kultura”, którego właścicielem był M. J. Bronfeld, znany mi bliżej, bo tam drukowałem zbiorek jesieninowski i „Więciarze”; mamy przed sobą dwa miesiące letnie, aby wejść w kontakt z lubliniakami, zebrać materiały i odpowiednio przygotować numer pierwszy, który miał się ukazać we wrześniu. Musi być na dobrym poziomie, od startu bowiem zależy dalszy rozwój pisma.

Licząc się z naszymi możliwościami finansowymi i nie chcąc aby nowe pismo stało się jeszcze jedną efemerydą, która zemrze po kilku miesiącach istnienia, z góry postanowiliśmy utrzymać „Kamień” przynajmniej przez rok, wydawać szczerze szesnasto-dwudziestostronicowe numery i starać się, by do następnych wakacji możliwie regularnie ukazało się dziesięć zeszytów. Nakład ustaliliśmy na 300 egzemplarzy. Liczba ta dzisiaj może się wydawać bardzo mała, ale na ówczesne stosunki, kiedy zbiorki poetyckie wydawano przeważnie w kilkuset egzemplarzach (u Kuglina w Poznaniu nawet 110) była dla pisma tego rodzaju zupełnie normalna. Nie chcieliśmy zresztą gromadzić makulatury.

Podzieliliśmy pracę w ten sposób, że korespondencja z literatami, projektowanie numeru i adjustacja materiału miały należeć do mnie, do Zenka zaś prowadzenie ksiąg rachunkowych, porozumiewanie się z kolporterami i zaopatrzenie każdego zeszytu we wkładkę linorytową. Obaj mieliśmy doglądać pracy w drukarni, przeprowadzać korektę i po ukazaniu się numeru ekspediować pismo.

Numer pierwszy postanowiłem oprzeć wyłącznie na literatach lubelskich, dawnych reflektorzystach i innych, a przede wszystkim zwrócić się do seniorki poezji lubelskiej, ogólnie szanowanej i lubianej Franciszki Arnsztajnowej z prośbą, by otworzyła zeszyt swoim wierszem.

Niedawno, jeszcze przed naszym zebraniem nauczycielskim, otrzymałem list od Czechowicza, w którym m. in. pisał: „Miesięcznika 1 numer wyjdzie 1 września. Ja mam redaktorswo. Tytuł „Strefa” — objętość (na razie) 15 stron formatu barykad tylko trochę bardziej kwadratowego. Jesienią też wyjdzie drugie wydanie mego „Kamienia” pod firmą Związku (...). W 1 numerze miesięcznika zobaczysz kilka ciekawych rzeczy — ataki, przycinki, złośliwości, zajadła walka o swobodę poezji jako kategorii ponadmarksistowskiej itp. Forsa na „Strefę” jest. Afisze reklamowe już się drukują. Dłuższy czas (od Wielkonoocy) nie się w Związku nie działo, bo ja wyjechałem — wcale nie mam zamiaru chwalić się w ten sposób, ale młodzi to lenie skończone, a starsi: Madej, Wacjo, Kondzio — to lenie nieskończoności. Staruszka robi, co może, ale sam wiesz, że niewiele może. Im bliżej ją poznaję, tym więcej ją cenię. To zacytuj człowieka przez duże „C”.

Między innymi i ta wiadomość o mającej powstać „Strefie” zmobilizowała mnie do szybszej realizacji planów kamenowych. Nie chodziło mi o to, abym chciał lubliniaków ubiec, mogły przecież ukazywać się i dwa pisma, a emulacja między nimi byłaby pożyteczna, ale mimo zapewnień Czechowicza, że forsę na „Strefę” jest i mimo dość pewnego tonu listu, coś nie bardzo wierzyłem w urzeczywistnienie tego projektu. W takim razie pismo chełmskie zastąpiłoby tę „Strefę”, no i mógłbym liczyć na większą pomoc Czechowicza.

Na wiadomość o moich zamiarach wydawniczych i prośbę o przysłanie materiałów do „Kamienia” odpowiedział mi 17.VI.1933 r.: „Życzę szczęścia. Przekłady załączam. Łobodowski za 2 dni będzie w Chełmie, więc doręczy Ci osobiście swoje utwory. Co do oryginalnych moich wierszy nie mam ich tak na kopy, żeby aż dwa nie drukowane od razu wydobywać dla miłych skądinąd towarzyszy ze Zw. Literatów. Co mam — posyłam. Gdyby później — może bym coś przysłał z wakacyjnego plonu. Na razie jeszcze brnę przez statystyki szkolne, sprawdzanie inwentarza etc. Ja jeszcze nie mam wakacji (...), a w post scriptum: „Artykuł jestem skłonny przysłać, ale nieco później pseudonimowo, bo w artykułach nie specjalizuję się”.

Madej obiecał skreślić notatki do kroniki słowiańskiej i przysłać swoje wiersze i przekłady. Podał mi też adresy paru literatów czeskich i pism w Pradze i Brnie.

„KRWAWA ŚRODA” NA POWIŚLU

(Dokończenie ze str. 1)

rychły termin śmierci — większość nie przeżyła stycznia 1943 roku. Tylko aresztowanego w Wólcie profesora Wacława Wydrę spotkał nieco inny, choć nie lepszy los — został zamordowany na Zamku w Lublinie.

W Parchacie SS ujęto 28 osób, wśród nich żonę Stanisława Kłopotowskiego, który został się wyrwać z kręgu śmierci. W gronie ujętych mieszkańców wsi znalazło się 16-letnie dziecko, Aleksander Szymański z Męcierzna — pa- „wista”, łącznik BCH, który wpadł w ręce oprawców nosząc organizacyjny meidunek. Aresztowanych wyprowadzono za stodołę sołtysa. Rozległy się szawy, popłynęły strugi krwi. Po chwili zwłoki 28 ofiar zaległy pięć egzekucji.

Nie obyło się też bez aresztowań. Pomiędzy zabranymi przez SS znalazł się Aleksander wojasza, o którego śmierci przyszła wiadomość z Oświęcimia w dniu 2.II.1943 r.

Publiczny pokaz mordowania ludzi urządzili hitlerowcy w Bochońnicy. Na pięć przed remizą strażacką spęszono tu cały tłum — 600 mieszkańców. Korodon zandarmów otoczył 45 aresztowanych, przeznaczonych na stracenie. Wszystkim pozostałym kazano patrzeć, jak giną ich bracia, mężowie, ojcowie... Jako pierwszego wyprowadzono drużynowego BCH z Parchatki Józefa Kobuskiego. Po kilku krokach pojęczy strzał zwał go z nóg, ale ranny zerwał się i chciał uciekać. Trzy następne kule położyły kres jego życiu. Po Robińskim rozstrzelano 44 następne ofiary, a dużą grupę aresztowanych popędzono do oczekujących cęzarówek. I o ich śmierci wkrótce zaczęły nadchodzić zawiadomienia z Oświęcimia. W ciągu stycznia i lutego obóz ten pochłonął Józefa Grzybowskiego, Józefa Szymczyka, Władysława Łazińskiego, Józefa Lyszcza, Stanisława Gaigana, Ignacego Sliwę, Tadeusza Nowakowskiego i wielu innych. A nie były to ostatnie ofiary okupanta...

Tak minęła „krwawa środa”. Jednak nie udało się hitlerowcom zlikwidować działającej koło Kazimierza grupy bojowców. Weszli więc w dalszym ciągu i widocznie nie bezowocnie, bo w sobotę 21 listopada duże siły niemieckie, krótko po południu zwały się na szosę pomiędzy Bochońnicą a Parchatką i zaczęły się wspinać na porżnięte jarami wzgórza włoścowskie, właśnie tam, gdzie bazowała bojowa grupa KB dowodzona przez „Kmiecia” (Jan Plątek). Wypadki ostatnich dni spowodowały, że dołączyło do niej kilkunastu „spalonych” podczas pacyfikacji, dzięki czemu stan oddziału wzrósł do 36 ludzi. W tej liczbie znajdowało się dwóch jeńców radzieckich — Nikołaj i Konstantin. Wszyscy mieli broń i zapas amunicji.

Kiedy oblawa minęła Zbędownice, rozwinęły obronnie oddział partyzancki przyjął ją rześmym ogniem. Wróg przypadł do ziemi i bez zwłoki podjął gwałtowny ostrzał jarów i małego lasu, obsadzonego przez partyzantów. Śmiało poczynający sobie z bezbronnymi hitlerowcy przywarli teraz do mazistego gruntu, nie zdradzając chęci atakowania. Przygrzewali tylko

coraz mocniej z ka- emów w każdy podejrząny punkt. Kiedy przekroczyli się, że natrafili na poważny opór, zaczęli obchodzić skrzydła partyzanckiej obrony. Ale dzień listopadowy krócił — zaczęło się zmierzchać, co tym bardziej zwolniło ruch Niemców. Szczęśliwi z tego partyzanci, wycofali się w kierunku wsi Stok, a następnie odpłynęli w terenie, unosząc swych dwóch zabitych i jednego rannego. Łupem hitlerowców pałi tylko kilka buniek w jarach włoścowskich gór.

Okrutny odwet za porażkę w wróg na wsi Zbędownice. Następnego dnia, w niedzielę, hitlerowska ekspedycja otoczyła nieszczęsną wioskę i spędziła pod figurę wszystkich 16 mieszkańców — mężczyzn, kobiety i dzieci. Zebranych oświadczone, że wieś zostaje wysiedlona, bo są w niej bandyci. Na oczach wystraszzonej gromady rozpoczął się rabunek opuszczonych chat, a po chwili wszystkie zabudowania stanęły w ogniu. Na tle pożaru SS-mani sformowali pierwszą czwórkę z mieszkańców wsi i otoczywszy ją ciasno, odprowadzili do przyległego wawozu. Seria strzałów oznajmiła o losie uprowadzonych. A potem przyszła kolej na następne czwórki.

Pożywa i półprzytomna ze strachu 14-letnia Helena Przepiórka, kiedy ją Niemcy wraz z matką zbierali na śmierć, rzuciła się oprawcom do nóg. Całując ich buty pokazywała świadectwo ze szkoły w Parchacie i tłumaczyła, że one nie z tej wsi. Jakoś to poskutkowało — SS-mani zbili je harapami, skopali, ale pacyli żywe. Ale musiały patrzeć, jak na śmierć idzie ich ojciec i mąż Antonii Przepiórka, ze swym synem Julianem. Na pożegnanie tylko skinął ręką...

Ludność okoliczna, której przypadało pochowanie rozstrzelanych mieszkańców Zbędownic, naliczyła w wawozie 84 trupów. W stosie martwych ciał znaleziono jednak jedną żywą dziewczynkę, nazwiskiem Murat. Ocalała jej życie matka, która w ostatniej chwili ginąc już, upadła na dziewczynkę i tak ją osłoniła.

Serię zbrodni w tragicznym dla polskiego powiatu listopadzie zakończyła masowa egzekucja przeprowadzona dwa dni później w Naleczowie. Pastwą hitlerowców padło tu 13 osób, które również publicznie rozstrzelano.

Okrutna pacyfikacja Powiśla pociągnęła za sobą śmierć kilkuset ludzi. Aresztowano drugie tyle. Przecież jednak bestialstwo okupanta nie zlamало w społeczeństwie woli oporu i walki o narodowe wyzwolenie. Z tym większą zaciekleścią podjęły bojowe działania miejscowe oddziały partyzanckie. W południowej części powiatu atakował wroga oddział Gwardii Ludowej pod dowództwem „Armata” (Aleksander Ligeraj z północnej — oddział GL „Dąbrowskiego”) (Mikołaj Paramonow), wewnątrz zaś powiatu nieustępliwie podjęły walkę Oddziały Specjalne EC. Z czasem odpłaciły one wrogowi na jedną dotkliwą stratę.

Leszek Siemian

A „staruszka” Arnsztajnowa pisała: „...za zaproszenie do współpracy w miesięczniku dziękuję serdecznie i chętnie żeń skorzystam (...) Wiersz z cyklu „Stare kamienie” załączam. Będę wkrótce miała parę świeżych rzeczy z nowo rozpoczętego cyklu, przesyłę je Panu podczas wakacji, ewentualnie przywiozę...”

W ogóle koledzy odnieśli się do mojej inicjatywy bardzo życzliwie i prawie wszyscy przysłali coś do startowego zeszytu. Tylko Bielski na razie się nie odezwał, a Gralewski był całkowicie pochłonięty redagowaniem „Expressu Lubelskiego”.

Wakacje spędziłem w rodzinnych stronach mojej ówczesnej żony w województwie stanisławowskim, w Wojniłowie, niedaleko Kalusza. Osadę tę położoną w okolicy falistej z rzeką Słwka, nadbrzeżną „Skalą” i widokiem na dalekie Gorgany zamieszkiwałem w większości Ukraincy. Korzystałem z nawiązanych znajomości, przeważnie wśród studentów bojkotujących uniwersytet lwowski i studiujących w Pradze, dla bliższego poznania języka, z którego zaczynałem tłumaczyć. Miałem ze sobą zbiorek

wierszy Pawła Tyczyńskiego; dzięki znajomości rosyjskiego rozumiałem prawie wszystko, znalazły się jednak tu i tam dzieła wyrazy, których znaczenia i w kontekście nie mogłem się domyślić. Prosiłem więc o ich wytłumaczenie. Rozmowy moje z Ukrainkami dotyczyły głównie spraw literackich, nie poruszałem drażliwych tematów politycznych, tym bardziej, że studenci byli nacjonalistami spod znaku „Wistnyk” i Doncowa. Musiałem przezyczyć ich szowinistyczną niechęć do Polaków, w czym pomogły mi moje wycieczki z literatury ukraińskiej, a domości z literatury ukraińskiej, ale przede wszystkim wyraźna chęć ich pogłębienia w prowadzonych rozmowach. Na ogół skorzystałem niewiele, gdyż studenci nie byli zorientowani w rozwoju najmlodszej poezji, a Tyczyński, który zresztą wydawał się im dziwny, dowiedział się dopiero ode mnie. Ale przynajmniej ocalałem się języka i wzbogaciłem trochę swój zasób słów ukraińskich.”

Kazimierz Andrzej Jaworski
*) Fragmenty przygotowanej do druku książki „W kręgu Kamienia”.

do niego komendant niemiecki, to aby z nim nie rozmawiać, ani salutować — kładł się na przycy, odwracał się do ściany. Cóż mu mogli zrobić? Najwyżej zabić: był im jednak potrzebny. Co się z nim stało? Z Lubeki został wywieziony przed końcem wojny, prawdopodobnie do Berlina. Spotkałem już po wojnie jednego z naszych jeńców, wywiezionego z Itzehoe w grupie tych oficerów, którzy byli posądzeni o mordowanie Niemców w Bydgoszczy. Udało mu się przetrwać więzienie berlińskie i dostać się do Oświęcimia, skąd wrócił w 1945 r. Otóż opowiadał mi on, że w czasie pobytu w więzieniu w Berlinie spotkał pod koniec wojny Długaszewego. Był strasznie maltretowany i bliski śmierci. Jest to chyba najbliższe prawdy.

W Lubece był zwyczaj strzelania do jeńców jak do kaczek. Był to rok 1942. Niemcy czuli się jeszcze silni, pełni zwycięstwa. Komendant niemiecki ogłosił, że o godz. 19 w lecie, a o zmierzchu w zimie baraki są zamknięte i nie wolno ich otwierać aż do 6 rano. Obóz był stosunkowo mały, obwód nie przekraczał tysiąca m. Patrol w każdej chwili mógł wkroczyć do obozu, a wartownicy z liczących wieź strażniczych mogli w każdej chwili otworzyć ogień. Często termin zamknięcia drzwi barakowych był ustalany gwizdkami w innych godzinach niż przewidziane. Tak zginął w naszym baraku kpt. Durak. Sam osobiście widziałem, jak został ranny ppor. Głowicki. Gdy szedł patrol, barak był już zamknięty. Silny podmuch wiatru otworzył jednak drzwi, które były zepsute i ledwie się zamykały. Widząc to podoficer niemiecki doskoczył do drzwi i z odległości kilku kroków strzelił do Głowickiego, który wychylił się, aby drzwi zamknąć. Na skutek takiej strzelaniny ranny został komandor Majewski. Łącznie zabitych przez Niemców w ten sposób było w Lubece i innych obozach około 30 jeńców.

Lubeka była obozem ucieczek. Mimo bardzo trudnych warunków wynikających z faktu, że był to obóz karny, specjalnej czujności i zwiększonej liczby wartowników ze względu na osobę Jakuba Długaszewego, Bluma, Rotschildów i nas, „bardziej niż inni niebezpiecznych dla Tysiąclecia Rzeszy” — jak podał w oficjalnym rozkazie sam komendant obozu, tłumacząc w ten sposób jedno z licznych ograniczeń — każdy chyba w Lubece żył myślą o ucieczce. Może na to wpływała też atmosfera obozu międzynarodowego, może sytuacja międzynarodowa — dość, że nie było w tym czasie (1942 r.) dnia, w którym coś by się nie robiło dla ucieczki. Z Lubeki uciekł w stercie brudnej bielizny ppor. Zdyb. Z kompanii żołnierskiej uciekło dwóch żołnierzy. Najgroźniejsze jednak dla Niemców a najtrudniejsze do przeprowadzenia, ale dające największe szanse ucieczki, były podkopy. To niezwykle interesujące zjawisko będzie szczegółowo omówione w dalszej części pracy, tu wspomnę tylko, że w ciągu kilkunastu miesięcy pobytu w Lubece przeżyłem 3 wielkie podkopy — francuski, polski i międzynarodowy.

W pierwszych latach życia obozowego podkopy kopało się spod baraków. Po wykryciu podkopów Niemcy odsłaniali miejsce pod barakami i stale je kontrolowali, tak, że system ten musiał być zarzucony. W drugiej epoce życia obozowego sięgnięto do nowych rozwiązań. Francuzi w Lubece wykopal podkop wprost z placu apelowego, na oczach licznych wartowników. To wręcz niewiarygodne rozwiązanie dało im doskonałe rezultaty. Otóż plac apelowy znajdował się w odległości kilku metrów od drutów otaczających obóz. Za drutami było jakieś wysypisko śmieci porośnięte trawą i małymi krzakami, a za tym cmentarz miejski. Zwykła ścieżka wartownicza była zaraz za zewnętrznymi drutami. Za ścieżką krzaki, trawa, wysypisko — zasłaniające doskonale wyjście podkopu. Przez kilkanaście tygodni Francuzi bardzo przykładnie przychodzili na apel, formowali się w kolumnę, żartowali, poklepywali się itp. Rozchodzili się też bardzo powoli, śpiewali hymny, poważne pieśni — frywolne piosenki. W tym to właśnie czasie dokonywały się zmiany kopaczy, wydobyte woreczki z ziemią. Otwór włazowy był na co dzień przykrywany zbitymi deskami w kształcie koła doskonale zamaskowanymi. W czasie apelu podnoszono właz, wyciągano kopaczy, czyszczono ich z błasku i gliny, zabierano woreczki z

ziemią pod płaszcz, a po przeliczeniu obecnych i odejściu oficera niemieckiego nowi szli do pracy do następnego apelu. W zasadzie praca trwała przez kilkanaście godzin na dobę. Francuzom bardzo pomogły specjalne obszerne płaszczki wojsk kolonialnych, burnusy itp. stroje.

Po kilku miesiącach pracy podkop był gotów i Francuzi w największej tajemnicy zaczęli wypuszczać po kilku uciekinierów. Ucieczka nie przybrała masowego charakteru, gdyż po kilku dniach wartownik niemiecki idąc na ukos w stronę cmentarza wpadł przypadkowo na podkop, gdy ten się pod nim zawalił. Zrobiono wielki alarm — stwierdzono, że uciekło 6 Francuzów. Po 3-4 tygodniach francuski komendant obozu otrzymał urnę z prochami Francuzów i krótkim wyjaśnieniem, że zostali zastrzeleni przy ponownej próbie ucieczki. Nikt w tę ponowną próbę ucieczki nie wierzył, ale formalności niemieckiej stało się zadość.

W OFLAGACH

(2)

(Dokończenie ze str. 5)

Podkop polski był robiony z ogródka obozowego. W lecie 42 roku ukazało się zarządzenie, że kto chce może zakładać działkę i sadzić kwiaty, salatek itp. Kopanie ziemi w ogródku stwarzało możliwość wysypywania tam świeżej ziemi z podkopu. Ktoś wpadł na pomysł ustawienia na działce beczki kuchennej po śledziach na kompost. Od pewnego czasu zaobserwowaliśmy wielkie zainteresowanie się pracą na działce wśród młodych. Był to w ogóle objaw dodatni. Dużym zainteresowaniem cieszyła się kompostownia, a zwłaszcza beczka, w której na wierzchu dojrzewał do zakopania w ziemi cuchnący kompost. Ja osobiście zorientowałem się dopiero wtedy, gdy w największej tajemnicy dopuszczono mnie do sekretu, jako oświadczonego bakcylem ucieczkowym i mającego już rzecz najważniejszą, bo ubranie z koca.

Beczka zakrywała wejście do podkopu, który miał już około 15 m, gdy ja się włączyłem do grupy, i wychodził już po druty. Kompost trzymał się na górze, gdyż beczka była w środku przedzielona i tak zabezpieczona wejście.

Przy podkopie pracowało czterech „kretów” i około 10 obsługi. Uciekać miało nas 7 mających ubrania oraz dwóch Francuzów.

Wszystko zdawało się zbliżać do szczęśliwego zakończenia. Po obozie chodziły często patrole, ale nikogo specjalnie nie niepokoili. Również nie zaniepokoił nas patrol, który z oficerem na czele szedł środkiem głównej ulicy. Jakież było jednak nasze zaskoczenie, gdy patrol skręcił nagle w naszą stronę i szedł prosto do naszej beczki. Równocześnie za drutami pokazało się kilku wartowników, a na wieżach strażniczych ruch niezwykle.

Podsiedliśmy do nas, stojących koło beczki oficer niemiecki wyciągnął pistolet i zażądał odsunięcia się od beczki. Gdy z konieczności rozstąpiliśmy się na odległość kilku kroków, trzej wartownicy zaczęli wyrzucać kompost z beczki, po czym ją podnieśli i ostrożnie jak najcenniejszy mebel odstawił kilka kroków z boku. Oczom wszystkich ukazał się właz do podkopu w całej okazałości, niczym nie zamaskowany.

Otwór miał średnicę około 60 cm; brzozi włazu były zabezpieczone cienką listewką z drzewa, dobrze dopasowaną do brzegów, aby się ziemia nie obsypywała. Oficer stanął okrzakiem nad włazem i wtykając pistolet do otworu zaczął wykrzykiwać, aby wychodzili, jeśli tam kto jest. Tymczasem prawie cały obóz był już w komplecie. Od strony wartowni biegł pędem nowy oddział wartowników, krzycząc, aby się rozchodzić.

Czy ta cisza trwała sekundy, czy minuty, — nie pamiętam. Zastygliśmy wszyscy w oczekiwaniu. Na trzecie, czy czwarte wezwanie dowódcy patrolu z ciemnego otworu pokazała się nagle pięść wynurzająca się powoli w górę, jakby wyrzut sumienia skierowany w niebo. Była śmiertelna cisza. Oczy wszystkich wpatrzono w tę pięść i w powoli rozwijające się

palce, pobrudzone ziemią i gliną. Potem ukazała się spoczona głowa obsypana piaskiem, umazana gliną, a następnie cała drobna postać St. Wpatrzony w Niemca, nas jakby nie widział, nie czuł, nie uznawał.

Za nim wyszło jeszcze trzech.

St. miał minę chłopca, którego ma ukarać ojciec za zniszczenie nowego ubrania przy grze w piłkę nożną na błotnistym boisku. Bardzo skromnie stanął sobie na uboczu i patrzył we właz podkopu. Nikt więcej nie wychodził. Była cisza. Oficer niemiecki dał znak — dwóch żołnierzy zdjęło mundur, ułożyło je systematycznie na beczce i weszło do podkopu. Długo, długo nie, napięcie rosło. Wreszcie na ciemnej linii włazu ukazała się głowa obwiązana chustką, potem ręce czarne od ziemi... Za chwilę cała trójka kopaczy stała na uboczu, bezbronna, cicha, spokojna, sympatyczna, dziwnie bohatera. Cały obóz odprowadzał ich do aresztu. Podkop był spalony. Żal nam ich było, żal podkopu, żal pracy, żal zawiedzionych nadziei. Za chwilę w obozie było generalne przygotowanie się do rewizji. Rzeczywiście odbyła się jeszcze tego dnia — i jak zwykle w takich wypadkach — nic specjalnego nie dała.

Trzeci podkop — tzw. jugosłowiański — prowadzony był z baraku pod ulicą, po której był normalny ruch. Podkop był tak mocny, że nawet ten ruch uliczny wytrzymał. Odkryto go przez zupełny przypadek, gdyż otwór wejściowy odgrzebały w nocy psy. Nie policyjne. Zwykle kundły bezpańskie i to podobno strasznie denerwowało Jugosłowian. Podkopem tym uciekło kilku Serbów, lecz bez cywilnych ubrań, co oczywiście skończyło się tylko demonstracją i karami.

Pewne dowody wskazują również na to, że był przygotowany, już po moim wyjeździe z Lubeki, podkop dla wykradzenia Jakuba Długaszewego. Sprawa ta nie jest mi jednak bliżej znana. Faktem jest, że budowę podkopu od zewnątrz — do obozu rozpoczęto, lecz został on szybko wykryty.

NIEUDANE ZAMIARY UCIECZKOWE

W Lubece przygotowywałem się bardzo starannie do ucieczki. Zamiar, cel, metoda ucieczki — dojrzały we mnie całkowicie. Za jedzenie z paczek, papierosy itp. zdobyłem 40 marek, spodnie cywilne, buty kanadyjskie, czarne, które mogły po pewnym zniszczeniu, zupełnie dobrze uchodzić za normalne buty cywilne.

Brak mi było tylko czapki, krawata i co było najtrudniejsze — marynarki. Po dłuższym oczekiwaniu zdobyłem upragniony koc, lecz nie mogłem sprzątnąć marynarki, gdyż w razie okazji ucieczkowej, w przeciagu 2-3 dni zaufany żołnierz mógł mi marynarkę uszyć, a koc można było bezpiecznie przechować. Jakież było zaskoczenie, gdy pewnego dnia, na apelu, Niemcy ogłosili rozkaz wyjazdu do następnego obozu. Właśnie przed 10 dniami rozpoczęliśmy w niezwykle dobrym miejscu podkop i otwarły się realne perspektywy ucieczki. Najgorzszą była zawsze rewizja przy wyjściu z baraku; normalnie rozumując zarówno spodnie cywilne, jak koc powinny przepaść. No cóż. Pozostała mi jedyna szansa: zatrzymanie się w obozie karnym — trzeba było zrobić coś, aby się dostać do aresztu — odsiedzieć, a grupa tymczasem wyjedzie. Samemu mnie nie będą transportować. A tu rozeszły się pogłoski, że wyjeżdżamy do „lepszego” obozu! Zaczęłam się zastanawiać, co tu robić? Ryzyko w takich wypadkach jest duże, bo łatwo można przeholować i dostać się do gestapo, pod sąd wojenny lub być zastrzelonym na miejscu. Wypadków takich było dużo. Chodziłem przez kilka godzin po obozie i szukałem jakiegoś powodu do pozostania w Lubece. Nie udało mi się. Wyszliśmy na rewizję, z której już mieliśmy nie wracać.

W tym momencie, nadszedł popieszczenie sam oficer polityczny — gestapowiec, nasz śmiertelny wróg. Odwróciłem się do niego, gdy zaczął mówić, a po chwili powiedziałem, że taka rewizja to jest barbarzyństwo, łamanie konwencji genewskiej itp. Zdenerwowany i podniecony rzuciłem mu pod nogi swój bagaż. Widziałem tylko, że oczy mu zabłyśły, chwycił machinalnie za kaburę pistoletu i kazał postawić przy mnie wartownika. Po kilku minutach przyszedł dwaj podoficerowie, którzy zrewidowali mnie niezwykle dokładnie, zabrali prawie wszystko, w tym oczywiście koc, pokiwali nade mną głowami i poszli. Ja zostałem do końca rewizji w

wartowni. Z wartownikiem również pomaszerałem na stację. To specjalne uhonorowanie mnie zrobiło mi dużą reklamę wśród uciekinierów, a wywołało dezaprobatę u „spokojnych”.

Rozpoczęliśmy znowu w bydłych wagonach po raz czwarty wędrówkę po Rzeszy w poszukiwaniu swego obozu. Tym razem nikt nie uciekł. Przy każdym zamkniętym wagonie było dwóch wartowników. Pełno ich też było w budkach wagonowych.

Tak się złożyło, że następna po nas grupa wyjechała z Lubeki z kajdanami na rękach. Był to widok niespotykany, wręcz niesamowity. Jeńcy wojenni — jak zbrodniarze wojenni. W czasie marszu tych kajdaniarzy przez Lubekę i na dworcach kolejowych straż tłumaczyła, że są to niebezpieczni zbrodniarze wojenni, podpalacze Lubeki i innych miast.

W czasie naszej podróży cieszyliśmy się już widokami bombardowanych dworców, miast, linii kolejowych. Podróż nasza do Kassel w Westfalii, a stamtąd dalej, trwała dwa dni.

Z wielką ulgą wyszliśmy na mały dworzec. Przeczytałem napis: „Warburg”. Tak stanąłem na stacji, która odegrała w moim życiu obozowym zasadniczą rolę. Przeczytałem na rozkładzie jazdy — kierunki — „nach Kassel — 60 km — nach Paderborn — nach Leipzig”...

Miasteczko było ładne, czyste, niewielkie — może 15-20-tys. mieszkańców liczące. Już na dworcu zauważyłem dwóch robotników polskich. W tym czasie w Westfalii było ich dużo.

W Warburgu przejęła nas straż z nowego obozu — Dössel b/Warburg — leżącego w odległości około 5 km od miasteczka. Obóz nie był widoczny. Zasłaniały go drzewa i wzgórze. Wnikliwie badałem wzrokiem okolice. Były więcej zapamiętać, więcej widzieć, poznać drogę do stacji.

Zawsze przy tego rodzaju wyjazdach poza obóz doznawałem pewnego rodzaju wstrząsu, zdziwienia, zaskoczenia, a nawet rozczarowania. A więc my siedzimy w obozie, wojna trwa już ponad 3 lata, a to wszystko toczy się normalnie!!!

Podobnego wstrząsu doznałem w rok później po przyjeździe do Warszawy! Nie wyobrażałem sobie takiego ruchu, życia, pełnych kawiarni, zatłoczonych kościołów, tak zaopatrzonych sklepów. Wyobrażałem sobie jak trudno przyzwyczaić się do normalnego życia po kilkunastu latach więzienia.

W czasie przekazywania naszej grupy przez dowódcę straży lubelskiej dowódcę grupy straży düsseldorfskiej, przekazano również sprawę, która mnie żywo obchodziła. Otóż komendant obozu w Lubece uznał za stosowne ukarać mnie 28 dniami aresztu za moje zachowanie się przy odejściu i prosił komendanta w Dössel, by mi to na miejscu zabezpieczył. Tak więc Dössel poznałem najpierw od strony najmniej przyjemnej — aresztu obozowego.

Wincenty Kawalec

SPRAWA NIEPOPULARNA

(Dokończenie ze str. 6)

techniczny i ekonomiczny. Chciałem tylko zasygnalizować problem, który w gruncie rzeczy już przestał narastać, a zamienia się w ropiącą ranę na żywym organizmie miasta. Chodzi tylko o to, aby nadal nie zamykać oczu, zejść z utartego szlaku planowania według ustalonego od lat schematu. Zresztą wcale nie występuję tu jako ktoś, kto nagle odkrył Amerykę. Jeszcze w lutym ub. r. Rada Ministrów poleciła opracowanie bilansów i racjonalnego wykorzystania terenów uzbrojonych. Właśnie na marginesie, a raczej w słusznym rozwinięciu tej uchwały, grupa inżynierów z lubelskiego DBOR-Miasto — inż. Raszeja i inż. Pięćfiski — przeprowadziła taką właśnie analizę, o jakiej tu piszę. Wnioski nasuwały się same. Myślę wreszcie, że podobnej analizy wymagają i inne miasta, że trzeba się tym zająć — jeżeli jeszcze tego nie zrobiono — w Rzeszowie, Radomiu, Kielcach czy Białymstoku. I także, w razie potrzeby, zdecydować się na odważne postawienie sprawy. Odważne, może początkowo niepopularne, ale przecież konieczne.

Jerzy Dostatni

mych źródeł różnią się czasem w sposób istotny, nie wiadomo, która redakcja jest właściwa. Trudno oczywiście iść wszystkimi ścieżkami, jakimi z konieczności szedł wydawca, trudno w całości powtarzać jego pracę. Porównanie dwu autografów z przedrukami zmusza do postawy sceptycznej.

Oto w III BALLADZIE CHOPINA w trzeciej zwrotce po pierwszym wersie postawiona została kropka i z jednego zdania zrobiło się dwa, w innym miejscu usunięta została pauza. Odrębny przykład przedstawia CHROPAWY WIERSZ, wydobyty — jak napisano — z uszkodzonego rękopisu. W tym wypadku brakujące słowa łatwo było uzupełnić bowiem wiersz ten pod tytułem BEZ NUT znajduje się w BALLADZIE Z TAMTEJ STRONY, bez żadnych zmian, niektóre odmiany natomiast spowodował nieuczynny przepisywacz, który „mieciami” zamienił na „wieszczom”, a „wiersze” na „wiersze”. W utworze na s. 234 dawna informacja z manuskryptu zastąpił odsyłacz do „Zetu” z 1929, kiedy ten jeszcze nie wychodził. Zdarzają się i takie niezrozumiałe wypadki, że utwór z podanym identycznym źródłem drukuje się w dwu miejscach, choć obie wersje różnią się minimalnie (s. 316 i 319). Nieco inna sprawa jest z ŁADOWANIEM, którego poprawniejsza wersja znalazła się dopiero w odmianach, zamiast w dziele wcześniejszym. Rozmaitych błędów jest o wiele więcej.

Umieszczano Czechowicza w nurcie awangardowym, uważano za przywódcę drugiej awangardy, sam nazywał się jej papieżem. W walce o ten prymat pokonał głównego pretendenta — Juliana Przybosa. Przekonanie o przynależności autora nuty człowieczej do nurtu awangardowego utrwaliło się nawet w podręcznikach, ma do tej pory wartość obiegową. Spory między „Skamandrem” a awangardą były już śmieszne i anachroniczne u progu 1939 roku, co dopiero, gdy się je kontynuuje po czterdziestu latach. Dziś można otwarcie powiedzieć, że sojusz Czechowicza z awangardą był natury czysto taktycznej, w grupie łatwiej było walczyć o miejsce dla siebie. W rzeczywistości poezja Czechowicza od początku wyróżniała się niepowtarzalną odrębnością, przy tym była zawsze samotna, jak samotny był i poeta, mimo istnienia tzw. kręgu Czechowicza. Jeśli pominąć towarzyską stronę tej sprawy, okaże się, że był to krąg ludzi kradnących doświadczenia Czechowicza, detalizujących jego własne zdobycze. Niektórzy pisali wiersze sąsiadujące z plagiatem. Co Czechowicz o tych praktykach sądził, można przeczytać w jego listach do Stanisława Czernika.

RÓWNOLEGLE Z ŻYCIEM

ZYGMUNT MIKULSKI

S A wiersze zyskujące wtedy, kiedy nie są czytane, ale słuchane. Jakby powstałe w konwencji słowa mówionego. To te, które swą treść przekazują bezpośrednio, w których metafora nie jest umownym językiem wymagającym przekładu na „nasz zwyczajny”. Gdzie „swoimi słowami” mówi już autor. Gdzie wreszcie końcowy efekt, poeta nie wynika jako wniosek z poetyckiego sylogizmu aluzji i parabol, ale jest podana wprost.

Tak uczestnicy naleczowskiego zjazdu twórców ludowych sprzed dwóch lat przyjęli porcję poezji Stanisława Buczyńskiego w jego recytacji na występie autorskim. Przymiotnikiem zjazdu był przymiotnik „ludowy”, ale czuło się, że te wiersze — aczkolwiek autor pochodzi ze wsi i przeszedł typową drogę „samorodnego” poety — posiadają inny nerw, akcent, temperament. Ze są raczej „robotnicze”. Z ich twardym rytmem w miejsce spokojnej rozlewności, agitacją do walki zamiast nastrojowej kontemplacji lirycznej. Bliższe Broniewskiego, niż Konopnickiej.

Nie mogło być inaczej. Życiorys Buczyńskiego jest życiorysem chłopca-proletariusza. Urodzony w r. 1912 w rodzinie wyrobników wiejskich przez samo życie postawiony był wobec konieczności zdobywania świadomości klasowej. „Kiedyś się urodził, zabrakło dla mnie pieluch, a w piersiach matki — pokarmu. W głodzie rodziła, jak gdyby namaszczając mnie tym stygmatem na dalsze drogi życia” — napisze znacznie później. Z jednej strony ciężkie warunki materialne, z drugiej nieprzepracowana chęć nauki podpowiadają młodemu chłopcu jedyną drogę: rewolucyjną. Wkracza na nią w wieku lat piętnastu popadając w kolizję z rodziną, dla której piętno komunizmu w ówczesnych warunkach oznacza całkowitą zaturę i tak już nikłych życiowych nadziei. Grudziądzka cenzura otrzymała sygnał o pojawieniu się nowego „niebezpiecznego” autora, siedemnastoletniego chłopca. Buczyński w tym czasie pisał do „Gazety Grudziądzkiej”, „Obronę Ludu”, „Wsi i Jej Pieśni”, „Demokraty” i

„Codziennie Gońca Ludowego”. Sporo z tego konfiskowano. Nie chodziło jednak o znalezienie protektorów dla „nieuczonych” wierszy i otrzymanie tą drogą możliwości literackiego startu. Chodziło o zmianę życia. Żeby człowiek miał prawo do swego nie tylko poetyckiego „miejsca na ziemi”. Buczyński wszedł w ruch ludowy. Za organizowanie chłopackich strajków za działalność w Związku Zawodowym Robotników i Stronictwie Ludowym dwukrotnie znalazł się w więzieniu, zagrożony został zsyłką do Berezy. Wtedy do szeregu wrogów, jakimi były głód i prześladowanie ze strony sanacyjnego reżimu doszedł nowy: gruźlica. „Chodzę w dalszym ciągu głodny, o pięknych rumieńcach na twarzy”. Tak „pięknie” dawano znać o sobie rozwijająca się w młodym organizmie choroba. Nie obawiała się jednak swego wybrańca — tyle, by nie mógł wygłaszać „wyrotowych” teorii, dopominać się parcelacji folwarków, podwyżki płac, sprawiedliwości i chleba dla wszystkich.

W r. 1938 „rusza w świat”. Na szczęście nie dalej, niż w Grudziądz (od rodzinnych Jankowic 30 km) znajduje przypadkowo znośne warunki egzystencji: pracę w redakcji „Gońca Nadwiślańskiego”. 24 sierpnia 1939 roku zostaje wysłany do sanatorium w Kowanówku pod Obornikami i w ten sposób gruźlica wyświadcza mu jedyną przysługę: ujęcie przed egzekucją. Redaktor naczelny został rozstrzelany, za resztą zespołu hitlerowcy rozesłali listy gończe.

Osiadł w Kotorowie pod Hrubieszowem. Ożenił się. W październiku 1942 banda UPA i hitlerowcy wydała nań wyrok śmierci. Był jeszcze trzykrotnie w czasie okupacji aresztowany w Modliborzycach.

Tyle w pobieżnym skrócie) „materiału dokumentacyjnego” dla tezy o związku twórczości z życiem. Jeszcze tylko, że obecnie Buczyński mieszka w Hrubieszowie, gdzie z racji, o których wiele ma do powiedzenia... zaściankowa kilkowieś, nie może znaleźć pracy i mieszkania. Wydzierżawia kawałek ziemi w Kotorowie, co jest jego i pięćosobowej rodziny jedynym źródłem zarobku.

Nie zaprzestał pisać wierszy, jak nie zaprzestał myć się ubierać, chodzić. Związek z poezją nie mógł być tu przyjętą z wykształceniem intelektualną manierą pozostającą niekiedy tylko nawykiem, nawet jeśli trwa całe życie. Poezja stała się jedynym przedmiotem czterech klas szkoły powszechnej, jedynym gimnazjum i uniwersytetem. Nie tylko przedmiotem zainteresowania, ale i życiowym awan-

(Dokończenie na str. 11)

Czechowicz — mity i magia

No i wreszcie odmiany tekstu. Temat ten potrąca o sprawy dla Czechowicza wyjątkowo ważne. — Wybór odmian jest całkiem dowolny i przypadkowy, a czasem obejmuje teksty całkiem błahe. Moim zdaniem, odmiany tekstu kwalifikują się u Czechowicza całkiem inaczej. Różnica dwóch, trzech słów może nie naruszać zupełnie kształtu wiersza. Kształt ten zmienia natomiast sposób zapisania utworu: z ortografią normalną czy bez. Weźmy przykład może krańcowy — z wiersza o śmierci:

bo całun to? piana welonu?

[kwiat śmierci? ślubu? całun? to przecież co innego znaczy, niż ten wers, który możemy odczytać tak zapisany:

bo całun to piana welonu

[kwiat śmierci ślubu całun.

Autorem obu wersji jest sam Czechowicz. Pisałem swego czasu w Ruchu Literackim o tych sprawach. Wydawcy je ominęli. Dobrze, że utwór Lublin z doła dał w dwu wersjach, raz w cyklu prowincja noc, drugi w Starzych kamieniach. Wydaje mi się, że sporo wierszy, przynajmniej pod tym względem ciekawszych, można było dać właśnie w odmianach tekstu. Idealnym rozwiązaniem byłby druk wszystkich utworów drukowanych normalną ortografią. Ale kiedy nie można było, należało przynajmniej taki fakt odnotować — choćby do użytku przyszłego monografisty, o którym mówi się we wstępie. Dla Czechowicza oba zapisy były prawie jednakowo uprawnione. Bez specjalnych poszukiwań mogę powiedzieć, że więcej niż połowa utworów Czechowicza ma dwóstronową redakcję ortograficzną. Wiersze normalnie zapisane były drukowane nie tylko w dziennikach, ale i w pismach literackich nawet wtedy, gdy poeta miał możliwość całkowitego wyboru decyzji (np. gdy był sekretarzem redakcji „Pionu”). I faktu tego nie można zlekceważyć.

Wbrew uprzednim zamiarom wdałem się w rzeczy szczegółowe, a i tak daleki jestem od wylczenia wszystkich uchybień czy wątpliwości. Nie miejsce na to w piśmie tego typu, co Kamena. Zostawiam je do innej okazji. Bo kwestie edytorskie związane z Czechowiczem mają wagę nie tylko dla jego poezji, ale chyba dla całej poezji współczesnej. Zajmowałem się nimi opracowania wydawniczego Wierszy. Blaski są oczywiście przecież. Wiersze są szansą odkrycia Czechowicza dla szerszych kręgów czytelników. Szkoda jednak, że otrzymują oni poezję Czechowicza w kształcie tak bardzo niedoskonałym. Wydawcy powinni ukazać czytelnikowi całą złożoność tekstów Czechowicza, ich zapisu, powinni wylegitymować się z przyłtych zasad. Pod tym i nie tylko pod tym względem zgadzam się z recenzentem „Tygodnika Powszechnego”.

Jak przedstawia się poezja Czechowicza dziś, w dwadzieścia lat od jej tragicznego zamknięcia? Straciła blask, czy zyskała nowy? Jest faktem, że w latach ostatnich utrwaliło się przekonanie, że znaczenie Czechowicza rośnie, jego doświadczenia owocują do dziś i że liryka „ego należy do tych zjawisk w dwudziestolecu międzywojennym, które nie uległy dewaluacji. A ten los spotkał wielu poetów uznawanych kiedyś za czolowych.

Nie awangardowy był rodowód liryczny Czechowicza. Więc jaki? Żeby dać uzasadnioną odpowiedź należałoby z odczytania wierszy, z publicystyki i recenzji Czechowicza odtworzyć jego świat poetycki, zbadać jego składniki, a w konsekwencji odtworzyć założenia jego poetyki. Rzecz jasna nie można tego dokonać na dwu, trzech stronach. Starczy załedwie miejsca na ich wylczenie. Jeden krąg spraw skupia się wokół zagadnienia mitu i mitotwórstwa. Postawa mitotwórcza była przez niego zawsze akcentowana. Marzeniem Czechowicza było przywrócić poezji rangę mitu. Oznaczało to poszukiwanie wartości najwyższych, rozstrzygających o świecie, nadających mu sens, a poecie wystarczający punkt oparcia. Cywilizacja, życie, piękno, śmierć, zagłada, czas — to są składniki jego mitologii. Punktem dojścia jest totalna mitologizacja rzeczywistości, każdy podjęty temat podniesiony jest do godności mitu. Mitologizację można więc pojmować jako proces wywyższenia, kanonizacji rzeczywistości. Konsekwencje postawy mitotwórczej są niezwykle doniosłe. Świat poetycki otrzymuje wymiary kosmiczne, sytuacje rozgrywają się między niebem a ziemią w wielu utworach mamy do czynienia z sytuacją dnia stworzenia. Poeta jest bowiem kreatorem, stwórcą nowych światów, obdarzony zostaje przywilejami boskimi. Poeta jest wyższy ponad wszystko, wywołuje świat z nicności z chaosu. Tworzenie jest opowaniem chaosu, nadaniem mu praw, zaprowadzeniem porządku. Trzeba dostrzec te założenia nadrzędne liryki Czechowicza, żeby właściwie odczytać jego poezję. Nie można detalizować Czechowicza mówiąc o krajobrazie, matce, kołysance. Te i inne tematy — to części całości nadrzędnej, mitu arkadyjskiego, mitu sielanki, który jest ocaleniem i ucieczką przed katastrofą i zagładą. Z tą zagładą sąsiaduje śmierć, tak ogromnym cieniem kładąca się na większość wierszy poety. To kieruje jego zainteresowanie ku tamtej stronie, wszystko może stać się symbolem, personifikacją śmierci. Tu ma swe źródło uczulenie metafizyczne Czechowicza i ta postawa, która każe mu traktować poezję jako odbicie metafizycznych spraw człowieka a pod pozorami rzeczy poszukiwać dna, śladu wieczności, a więc tego, co dla poety najważniejsze.

Z precyzjami zagłady wiąże się postawa profetyczna Czechowicza, staje się on prorokiem, człowiekiem przemawiającym przyszłości, mawiem. U Czechowicza poruszamy się ciągle w świecie zaklętym, gdzie rządzi prawa magii. Język Czechowicza ściśle odpowiada temu czarodziejskiemu światu. Spójrzmy na słowa-klucze liryki Czechowicza: koło, pierścień, koń, złoto, srebro, czerwień, ciemność, księżyc, gwiazdy, dzwony, cyganka, karty, czar a także król, berło, korona. To są słowa o niezwykle wielostronnych możliwościach skojarzeniowych, promieniujących na cały utwór i w sumie stwarzających klimat czarodziejski, magiczny. Słowo magia może być użyte jedynie w sensie metaforycznym, oznaczającym pewne podobieństwo postępowania. Magia polega na czynnym stosunku do rzeczywistości, na zmianie jej za pomocą słowa, myśli, gestu lub spojrzenia. Przykładów liczy-

nych dostarcza wiele utworów poety — do tereski z liseux, zle dwie minuty, przedświt czy żal. Jedynym możliwym, bo skutecznym językiem w tym świecie jest język magiczny, zaklęć i zażegnowań. W wierszu do tereski z liseux:

o świecie
nim cię kto zbawi
zgiń przemiń

Przykład ze snu sielskiego:
nie męczcie odfrucić dokąd chcecie
kruki wilcy niedźwiedziowie jelenie
amen

To najczystszy, choć nie jedyny, wzór zaklęcia. Przykłady są niemal na każdej stronie Czechowicza. Konsekwencje takiej zasady budowy języka są wielorakie. Świat magiczny doskonale sprzężony jest z postawą proroka i przepowiadającego przyszłość, stawianiem wyroków i przepowiedni. Dlatego język Czechowicza jest zamglony, wieloznaczny, tajemniczy. Stąd dookładne sprzężenie z ludowością, stąd wreszcie ten muzyczny porządek rzeczy, który nie wywodzi się z Przybosa, jak chce K. Wyka, ale z pieśni ludowej, bezpośrednio z ducha symbolizmu. Muzyczność towarzyszy wszystkim gustom poetyckim Czechowicza, jest jego koniecznym akompaniamentem.

Tu więc, w źródłach symbolizmu, przede wszystkim tkwią korzenie poezji Czechowicza. Tak jest jej rodowód. Potwierdza to i kształt jej i programowe wypowiedzi poety. U progu 1939 r. poeta objawiał nadzieję symbolizmu, czy neosymbolizmu. Można te zbieżności i analogie poetyki symbolizmu i poetyki Czechowicza wliczyć: poezja kosmiczna, poszukiwanie „dna”, znaczeń ukrytych za pozorami rzeczy, przeciwstawienie idealności — koszarnej codzienności, poeta jako kreator, stwórca, uosobienie wyższych sił, skłonności mistyczne i postawa mitotwórcza. Ostatnie, choć nie najmniej ważne zbieżności — to budowanie magii poetyckiej, języka magicznego oraz

poddanie utworu żywiołowi muzyczności. Zbieżność, analogia nie oznacza tożsamości. Bo trzeba widzieć odmienność poezji Czechowicza w dwudziestolecie. Zresztą żywotność symbolizmu w tamtym czasie potwierdza również liryka żagarystów i Mieczysława Jastruna. Czechowicz jednak nigdy o to nie był posądzany.

A nuta człowiecza? Towarzyszyła ona całemu biegowi poezji Czechowicza, nawet jeśli pozory świadczyły przeciw temu. Tom nuta człowiecza zażywał wielki krąg doświadczeń poety. Zdawał on sobie sprawę, że stoi u progu nowego, innego okresu wzbogaczonego o poprzednie poetyckie doświadczenia, także o doświadczenia ludzkie. Mówił w wywiadzie udzielonym w 1939 Janowi Spiewakowi o zbiorze nuta człowiecza: „Tytuł wyraża przynależność do wspólnoty z ludźmi, więcej nawet, do współzucia z nimi. Jest silniejszym akcentem, kropką nad i. Przeznaczony jest do tych, którzy czytając moje wiersze ustosunkowują się do nich jak do utworów pięknośducha. Chciałbym skończyć z tym. Chciałbym na początku pięciolini postawić znak, aby wiedzieć, według jakiego klucza czytać należy”. Chciał poeta wyrazić ludzkie i ponadludzkie. „Nuta człowiecza” jest tą formułą, która godziła oba światy, wyrównała ich antynomie bez kompromisu.

Takie było zamknięcie, takie otwarcie nowej perspektywy. A dalej „to wiemy wiemy”:

będzie dźwięn głuchy dźwięn
po zwęglonej karcie poematu

Tadeusz Klak

* Józef Czechowicz: Wiersze. Lublin 1964. Wydawnictwo Lubelskie s. 311. Wstęp Romana Rosiaka. Wiersze oryginalnie zebrane i do druku przygotował Stanisław Pięta. Wiersze Seweryn Polak i Jan Spiewak. Wiersze dla dzieci zebrane i do druku przygotował Czesław Janczarski. Przekłady zebrane i do druku przygotował Kazimierz Andrzej Jankowski. Obwoluta i opracowanie graficzne Krzysztofa Kursątkowskiego.

ra, posiadającą się w swej reper-
terarskiej pasji i słuszenie gdyż u dr
Alfreda Kukiera ratyna w udzielaniu
wywiadów o wiele przewyższa mój
reporterski staż. „Dom Higieny? Nie wie
pan o czym piszę? O higienie.”

Jest dotychczas na sposób lekarzy,
reaguje szybko z nieco zaczną jak
gdyby drwiną.

— Nie jestem takim Judymem jak
się panu wydaje — mówi, kiedy
wspominam, że był przewodniczącym
Społecznego Komitetu Budowy Domu
Higieny. Po prostu wyłoniła się ko-
nieczność budowy takiego obiektu.
Zawsze to lepiej kąpać się w wannie
niż w studni. Bez wątpienia.

Przybył do Michowa wraz z żoną po
ukończeniu Akademii w Lublinie.
Uczył to niechętnie, bowiem w Lu-
blinie miał zapewnioną pracę w kli-
nicy. Potem już nie chciał wracać. Po-
został. Nie wiem jak mieszka, czy ma
telewizor i jeździ własnym samochodem,
wiem, że czuje się potrzebny
swym pacjentom, wiem, że przyjeżd-
żają do niego chorzy także spoza Mi-
chowa. „To dobry doktor” — mówią
o nim.

Akcję budowy Domu rozpoczęto
wiosną 1962 roku. Wkład społeczny w
budowę, wyrażający się zarówno w
pracy osobistej, w dostarczaniu ma-
teriałów, jak też i w formie składek
pieniężnych, o wiele przewyższa pięć-
dziesiąt procent kosztów budowy. We
wznoszeniu Domu pomagali, najczę-
ściej finansowo, instytucje działające
na terenie gromady, a więc Zakład
Mleczarski, PZGS, cegielnia. Wydatną
pomoc okazał Powiatowy Komitet
PZPR w Lubartowie: stał się radą,
narzucał terminy, wytyczał kierunek
prac, w końcu spopularyzował akcję
poza obrębem gromady tak, że stała
się ona sprawą nieomal całego po-
wiatu.

I wreszcie w maju nastąpiło otwar-
cie „To było wielkie święto” — wspo-
minają wieśniacy — „Oddano do
użytku nasz Dom i wbudowano akt
erekcyjny pod nową szkołę ogólnok-
ształcącą, przyjeżdżali tu z Lu-
blina i z Warszawy.”

Kiedy idę obejrzeć ów obiekt, o
którym tyle nastuchałem się, wyobra-
zam sobie, iż natknę się na olbrzymi
gmach, toteż jestem nieco rozczaro-
wany jego miniaturowymi rozmiarami.
Buaynek jest zwarty, niewielki,
na dużych szybach frontowych okien
napisy „Fralnia „Samosia”, na mniej-
szych z lewej. Fryzjer damski, Fryzjer
męski. Fryzjerzy jeszcze, niestety, nie
działają. Wnętrze jest urządzone z
ową praktyczną celowością i estetyką,
z jaką urządza się obecnie pomiesz-
czenia nowo wzniesionych budyn-
ków o przeznaczeniu społecznym. W
poczekalni postawiono niskie, lekkie
stołki, barwne, miękkie krzeselka, ra-
dio, regał na prasę. W dwupokojowym
elegancko wyposażonym hoteliku —
szeszę wygodnych łóżek. Hotel zresztą
cieszy się tutaj — obok pralni — naj-
większą popularnością. Z prawej stró-
ny hallu drzwi prowadzące — jedne
do pralni, drugie do urzędzeń kąpie-
lowych.

Wiejski Dom Higieny Osobistej (tak
brzmiała pełna i poprawna nazwa) jest
obiektem służącym do podniesienia
poziomu higieny mieszkańców wsi, co
zresztą ex nomine wynika. Składa się
z trzech części. Kąpielownia, posiadają-
ca pięć kabin z natryskami i trzy z
wannami, cieszy się szczególnymi
wzglądami u ludności podczas zimy, a
to chociażby dlatego, iż w pobliżu Mi-
chowa nie przepływa, niestety, żadna
rzeka. Drugą część stanowi urządzenie
niania dezynfekcyjno-dezynfekcyjne
jeszcze nieczynne, ale też nie zacho-
dzi nagła potrzeba ich uruchomienia.
Trzecią wreszcie częścią jest pral-
nia, wyposażona w elektryczne pral-
nice i także elektrycznie napędzane:
suszarnie i magiel. Dom jest całkowicie
skanalizowany, posiada centralne
ogrzewanie, wszystko funkcjonuje
bardzo sprawnie.

Nieco gorzej przedstawia się sprawa
wykorzystania urządzeń, obecnie.
Na jesteni, określa je się jako średnie.
Z pralni najczęściej korzystają zakła-
dy pracy (rolnicy piorą we własnych
pralkach). Łaźnia, obecnie, w zasa-
dzie jest nieczynna, kierowniczka tłumaczy
ten fakt chłodami i tym, że do-
tychczasowi użytkownicy lękają się
kataru.

Ogladam jeszcze raz wszystkie te
pomieszczenia, pełen optymizmu wy-
palam papierosa we fryzjerskim fo-
telu. Wychodzę.

Siąpi deszcz. Człowiek w zrudzia-
nym welocje wiska głębiej ręce w
kieszenie. Mówi. Pamiętam, że kiedyś
to chodziło się tylko do kościoła i do
Furtaki, do knajpy. Teraz jest i kino,
i świetlica. Wszędzie można pójść. A
najważniejsze, że „brok” położyli. Mo-
żna jechać, gdzie tylko zechcesz.

BEATA BATUK

Widok ocalony

Jest chwila po orce.
Ziemia otwarta wzbiera mlekiem
i czeka na pierwszą sytość.

I tak jak przebudzenie
rannej kuropatwy
umiera z tęsknoty
[za gęstym światłem południa,
wokół pęknięć nabrzmiałych
pod przekrwioną skórą drzew
— czas wracać.

Twarzami do matki mojej
obracam senne kapliczki przydrożne,
pierwsze zimne kwiaty wiosenne.

Stare liście płożą,
sny ich wślakają w ścieżek
[zbutwiałych
gotyckie sklepienia.

Nie mam modlitwy ulubionej.

RYSZARD MIERNIK

Ojciec...

Płowiesz
Jak świętokrzyski pasiak
Tkany z promieni słońca
I gęstości ziemi
Nadzieje
Przetopiłeś w hutach
Pogubiłeś wśród kamieni
Prawo płowienia
Znając kobiety
Tłukące w wodzie
Twarze poprzedniczek
Dęby jesienią
Podobne są tobie
Podobna
Ciepła jeszcze rękojeść
Topora
Barwy powstałe z ciebie
Pozbieram
Na ostrzu poniosę
Gdzie kobiety
Wyprane są z cieni

BOGDAN PASTERNAK

Wiklinowe słowa

Brodziłem wiosennym czasem
po zielonych łąkach
ale żaby w dziobie nie przyniosłem
Sledzę sobie teraz
w roli słowika domowego
i wyplątam kosze z wiklinowych słów
Sprzedają na jarmarkach
w miasteczku i okolicy
a że mało ludzi kupuje
na kominie białym dnem dzbanka
przyświeca dzień.

ANDRZEJ ZATORSKI

Obraz

Marysi i Zbyszkowi

Malowałem ciebie — myślą
i dnia na dzień —
aż wypełniłaś wszystkie moje tkanki.
Już nawet puls na rytm
[twojego oddechu.
Jednak —
kompozycja sylwetki
na tle pragnień
jest pochmurnym popołudniem
upalnego lata.
Mimo intensywności odcieni —
mlecy.
Boję się teraz wyciągnąć rękę
by pieszczotą dotyku
nie poraził ciebie swoim uczuciem.

ADA KOPCIŃSKA

Stojąca nad brzegiem

Już samodzielna
z wiosną poszarzała tak
nagle teraz
z rękami na karku
choćlaż przez moment
patrzy
liczy barwy
wargą co ptakiem
z wahaniami odlotu
barwy kolejno po sobie
do oczu.

Już samodzielna
a przecież na brzegu
na tym cypelku który
drażni przepaść
a z drugiej strony woda prawie
zawsze czarna.

Jesień tu właśnie gubi
puch i plóra
(dla niej ta pora)
które z jej włosiem
długim i słonecznym
mogą być gniazdem
z piskiem wyklutego.

Lecz stoi sama
niepewna i ciepła
razem z zachodem gasnąc
albo wstępując
— gdy świt.

Już samodzielna
a palce chwilami
z małych muszelek i mokrego piasku
zamki budują.

RÓWNOLEGLE Z ŻYCIEM

(Dokończenie ze str. 10)

sem. Ale przede wszystkim pasją. Pa-
sją posuniętą do tego stopnia, że z
braku papieru Buczyńskiemu zdarzyło
się kilkakrotnie — nie jest to literacką
przesadą — napisać wiersz na ścianie.
Jakby widomy symbol niedostatku
warunków, które trzeba przezwycię-
żyć tym gorętszym zapamiętaniem w
pracy. Buczyńskiego arkusze w antolo-
gii lubelskiej poezji ludowej odróż-
niał się nie tylko tonacją rewolucyj-
ną, rozmachem słowa, ale i pewnym
doświadczeniem pisarskim. Ten ludo-
wy twórca nie po raz pierwszy ujrzał
w druku swoje nazwisko. Ma w do-
robku coś koło tysiąca wierszy, z tego
znaczną część rozsiana po różnych
czasopiśmie. Miałby znacznie więcej,
gdyby nie konflikt z miejscowym śro-
dowiskiem, które nie potrafiło poczuć
się zobowiązane do zapewnienia odpo-
wiednich warunków pracy swemu
poecie. Osobliwością wyższego rzędu
jest fakt, że Buczyńskiego lepiej
przyjmują w tygodnikach krajowych,
które o nim piszą, aniżeli w hrubie-
szowskim PZGS-ie, skąd go jako pra-
cownika usunęto. I to również przy-
czynę do „materiału dokumentacyj-
nego”.

Wydany ostatnio przez Wydawnic-
two Lubelskie zbiór wierszy Buczyń-
skiego pt. „Maki” oprócz obecnego
dorobku zawiera krótki przegląd
twórczości tego poety od lat bezmała
najwcześniejszych. Dzięki temu nie-
wielki tomik reprezentuje jakby wy-
danie zbiorowe. Znamienne, że poetyka
tych utworów nie uległa zmianie. Nie
były tu celem poszukiwania formalne,
a rozwój i dojrzewanie zaznaczyły się
coraz konsekwentniejszym poszukiwa-
niem wyrazu dla obranej treści. Treść
cią to jest praca, umiłowanie przyro-
dy i człowieka, solidarność z wysił-
kiem i uczuciem ludzkim. Nie brak
też gorzkiej samowiedzy dotyczącej
przemijania w czasie, niewystarczal-
ności dokonania wobec ogromu spraw
niesionych przez życie.

Jak u Broniewskiego widoczna jest
paralelność dwu postaw: dynamicz-
nej i lirycznej. Liryka Buczyńskiego
odznacza się przede wszystkim auten-
tyzmem przeżycia. Pod tym względem
program „Okolicy Poetów” posiada

S IAPI deszcz. Człowiek w wel-
wetowej marynarce i w macie-
jówce wciśniętej na oczy, spod
której obrębu sterczy nad ciemieniem
idźbło słomy, ma zaczerwieniony nos,
ręce zatkał w kieszenie, mówi nie-
chętnie: — To i tak dobrze, że brok
położyli. Mówili: „kulawy będziecie
chodzić po broku”, a brok jest i nikt
nie kulawy. Blota nie ma, to grunt. A
jednego dnia to można być i w Kocku
i nad, i jeszcze dalej. Tak jest.

Wiesz jest wielka. Wzdłuż ulic sta-
nowiących wjazd do jej centrum —
domy przeważnie murowane, na do-
mach świeże tynki, jedynie ich nie-
bieski, barwno niebieski kolor sugeru-
je ową tak charakterystyczną dla wie-
sek schludność, pokładającą zaufanie
w wapnie. W środku rozległy rynek,
nieco z boku, z lewej, w perspektywie
oszkłony, piętrowy blok Wiejskiego
Domu Towarowego, z prawej, w stronę
kościół, pomniejszonego jak gdyby o
piętra sąsiadów i przestronnego nimi,
widnieje obszerny, oszkłony pawilon
Domu Książki, a na rynku — rzecz, z
którą wysiadając z autobusu stajesz
niemal nos w nos: budząca początko-
wo uśmiech tablica w kolorze ciem-
nego ugru, lakonicznie głosząca szar-
nym blokiem: Hotel, Wiejski Dom Hi-
gieny, wsparta niby transparent na
dwóch słupkach wbitych w trawnik,
na tablicy oprócz napisu dwie zbież-
ne ku dołowi, dezorientujące w pierw-
szej chwili strzałki. I oto masz swój
problem, o jakim pewne osoby jeszcze
w mieście twierdziły, że to niecieka-
we, że nie ma o czym pisać. Być mo-
że lecz w każdym razie jest co oglą-
dać. Co? Wszystko: ludzi, wieś, jesień
na wsi.

Trafiam od razu idealnie, w punkt.
Kiedy w PGRN stempluję mi dele-
gację, pytam o sekretarza Prezydium,
osobę wydawać by się mogło we wszy-
stkich sprawach wiejskich najbardziej
kompetentną. Nie ma sekretarza, w
teren wyjechał. „A o co chodzi? Dom
Higieny? O tym najlepiej wie doktor.
Niech pan idzie do doktora, ma teraz
trochę czasu, zanim zacznie przyjmo-
wać pacjentów”. Idę więc do dokto-

jeszcze jednego nie ujętego w organi-
zacyjne kanony wyznawcę. Niekiedy
wiersze te mają siłę inicjującą, rozpo-
czynającą liryczny ruch wyobraźni, a
nie skończoność wypowiedzi zamykają-
cej treść zamkniętym kształtem. Są
„otwarte”, jak okno wyprowadzające
wzrok poza ramy skończonego przed-
miotu, w perspektywę widzenia.

Położyłem serca ziarenko
na listku.
Zaśpiewałem piosenkę.
To wszystko.

Nie wszystkie utwory Buczyńskiego
posiadają opanowanie i dyskreję za-
cytowanego. Widoczna jest tu nad-
mierna niekiedy żywiołowość, zaufa-
nie do spontaniczności wyrazu. Trze-
ba jednak uwzględnić, że nie czeło-
wał ich zimny konstruktor kształtu-
jący swój produkt z pozycji przyszłej
recenzji. Tu słowo znaczy to, co zna-
czy, nie jest materialem dla poetyckie-
go snyderstwa. Takie może nie przy-
stawać do praktyki jakże często wy-
naturzonych poszukiwań formalnych,
nie traci jednak związku z prawdzi-
wie poetyckim poszukiwaniem uczu-
ciowego odzewu.

Jeszcze jedna sprawa przy Buczyń-
skim. Ze względu na wiadomą prze-
szłość posiada on bogaty materiał
wspomnieniowy. Stykał się z wielo-
ma osobistościami, doświadczył wielu
perypetiów. W jego życiorysie oprócz
walki i twórczości sporo miejsca zaj-
muje anegdota. Buczyński wykazuje
przy tym rozległą pamięć i talent ga-
wędziarza. Warto tychże okoliczności
jakiś rezultat spowodować. Udostęp-
nić mu warunki do pisania nie po-
zostawiając na uboczu takiego bodźca,
jakim jest możliwość druku. Nie wy-
kluczone, że w ten sposób rzeszowski
Roman Turek znalazłby swego lubel-
skiego kolegę.

Zygmunt Mikulski

1) Szerzej o perypetiach Buczyńskiego
w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 4/61,
Bogdan Hamera: „Nie będziez pro-
kiem...”, „Ilustrowanym Kurierze Pol-
skim” (nr 131/62, Stanisław Poręba: „Przy-
pominał poezje Stanisława Buczyńskie-
go”) i „Nowej Wsi” (nr 34/63, Barbara Try-
fan: „Pod złą gwiazdą urodzony”).
2) Stanisław Buczyński: „Maki”, Wydawnic-
two Lubelskie, 1963, str. 82, cena 10 zł.

Rzeszowskie środowisko plastyczne

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

WRZESZOWIE mieszka obecnie ponad 60 tys. osób, pracuje ambitny zespół Teatru im. W. Sienkiewicza, planuje się organizację Dni Teatralnych Polski Południowej i Ogólnopolskich Dni Muzyki Kameralnej. Miasto zmienia oblicze i z prowincjonalnego ośrodka o monotonnej architekturze często nawiązującej do modnych nigrdys „neo-stylów”, przekształca się w rzeczywistą stolicę województwa zabudowaną nowymi dzielnicami pełnymi zieleni, która harmonizuje z pastelowymi kolorami nowoczesnych elewacji. Centrum miasta — ul. 3 Maja — zajmują lokale usługowe: sklepy, bary, restauracje, kawiarnie, a większość z nich reklamuje się pomysłowymi neonami i interesującymi rozwiązaniami wnętrzami; wszędzie widać rękę kierowaną wrażliwością i wiedzą plastyka.

Obecnie na terenie Rzeszowa i województwa mieszka i pracuje 53 artystów skupionych w oddziale ZPAP, który powstał w r. 1944. W stosunku proporcjonalnym do liczby mieszkańców rzeszowski Związek Plastyków należy do najliczniejszych w Polsce wschodniej, wyprzedzając Białystok oraz Lublin.

Nie ma potrzeby ukrywać, że wzmożenie działalności ZPAP nastąpiło w zasadzie po r. 1956, kiedy to z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych ścignęli jej młodzi absolwenci stowarzyszeni w „Grupie 14”. Po początkowym, trudnym okresie asymilacji w nowym środowisku, potrafili jednak zdobyć zaufanie władz, poparcie społeczeństwa i uznanie dla swej sztuki — trudnej czasami dla przeciętnego odbiorcy.

Dziś, dzięki wszechstronnej pomocy miasta plastycy rzeszowscy mają pomyslnie rozwiązane podstawowe problemy bytowe, wszyscy otrzymali mieszkania, często w nowych blokach, pracują przy pośrednictwie PSP, a część ich posiada etaty w szkołach artystycznych — Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych i Państwowym Liceum Techniki Plastycznych w Jarosławiu i Sędziszowie; kilku zajmuje się dziennikarstwem oraz działalnością w Biurze Wystaw Artystycznych.

Na terenie całego kraju projektowanie i oprawy plastyczne uroczystości partyjnych, państwowych i innych imprez o charakterze masowym oraz realizacje tych projektów zlecane są plastynom, lecz w Rzeszowie jest to szczególnie przestrzegane, dając pozytywne rezultaty w postaci wartości dekoracji wykonanych przez fachowców, a zarazem zbliżając społeczeństwo do twórczej działalności artysty. To (być może) pierwsze zetknięcie z efektem pracy twórczej staje się w pewnych wypadkach bodźcem do odowiedzenia wystawy, nabycia albumu przyczyną zapisania dziecka do ogniska plastycznego, — w końcu spełnia funkcję dydaktyczną rzutużącą na ogólny poziom kultury. Obserwuje się tu ciągłą ingerencję plastyków w życie miasta. Sprawy jego bywają tematem wielu konkursów, że wymienię „Miasto, w którym żyjemy”, „Rzeszów w grafice i rysunku”, „XX-lecie PPR” i „15-lecie województwa rzeszowskiego”. Dodajmy do tego zrealizowane galerie sztuki w dwóch szkołach Tysiąclecia oraz projekty kolorystyczne -szkoly będącej w budowie, a nie zaskoczą nas tłumy rzeszowskiej dzieciarni biorące udział w *ad hoc* zorganizowanym konkursie ulicznym z okazji „Dni Rzeszowa”; podobrazimi dla młodych mistrzów był asfalt ulicy, a widzami — rodzice i wielu przygodnych przechodniów!

Pomimo wyraźnych rezultatów pracy w dziedzinie wychowania estetycznego — pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Struktura socjalna rzeszowskiego społeczeństwa wykazuje wiele analogii do białostockiej*. Istnieje przy tym kilka czynników utrudniających szerzej zakrojoną działalność ZPAP, a zasadniczym jest brak odpowiedniej, obszernej sali wystawowej. Obecny, wspólny lokal ZPAP i BWA otwartych w roku bieżącym, przestał już wstarczać. Również w tym wypadku władze miejskie śpieszą z pomocą rzeszowskim twórcom i w roku przyszłym plastycy otrzymają odrestaurowany budynek w centrum miasta,

który pomieści dwie duże sale wystawowe oraz 11 pracowni. Przy tej okazji chciałbym poinformować, że w Rzeszowie nie ma w zasadzie pracowni indywidualnych i stąd wielkie nadzieje związane z nowymi salami.

Efektowna praca Związku Plastyków byłaby niemożliwa bez dynamicznie działającego Biura Wystaw Artystycznych. Po zapoznaniu się z planami BWA w Rzeszowie na rok bieżący i przyszły, można stwierdzić rzadko spotykaną prężność tej placówki, widoczną w wielokierunkowych akcjach, które często wykraczają poza tradycyjny zakres prac wykonywanych przez biura wystaw. A więc w roku 1963 rzeszowskie BWA kierowane przez art. mal. C. Kotowicza, zorganizowało około 70 (!) ekspozycji zbiorowych, indywidualnych, objazdowych klubowych oraz wystaw sprawozdanych z innych okręgów. Poza tym przy wydatnej pomocy Biura odbywały się „Wieczory rozmów o sztuce” i „Wieczory poezji”, podczas których członkowie Koła Młodych Poetów wygłaszają swoje utwory częściowo związane z plastyką. Celem tej akcji jest integracja środowiska kulturalnego Rzeszowa, wciągnięcie do wspólnej działalności inteligencji twórczej, obok plastyków — aktorów, dziennikarzy i stojących nieco na uboczu architektów. Inicjatywa cieszy się dużym uznaniem.

Wydaje się, że po XIII Plenum Partii problem nabiera aktualności także w stosunku do środowiska kulturalnego Lublina, a jego pomyslnie rozwiązanie stanowi jeden z zasadniczych warunków ideowej ofensywy.

W r. 1964 program BWA w Rzeszowie, liczący się z możliwościami wykonania, zakłada organizację 21 wystaw premierowych, 65 powtórzonych w terenie obejmujących 24 miejscowości, oraz planuje wygłoszenie 50 odczytów o sztuce! Założenia imponujące, godne naśladownictwa.

Poprzestając jedynie na ukazaniu strony organizacyjno-bytowej rzeszowskiego środowiska plastycznego otrzymaliśmy obraz fragmentaryczny, pozabawiony zasadniczej cechy: określenia aktualnych tendencji artystycznych reprezentowanych przez poszczególnych twórców Rzeszowszczyzny.

Analizy i spostrzeżenia zawarte w tej części artykułu poświęconej problematyce artystycznej, zostały sformułowane na podstawie znajomości prac rzeszowian eksponowanych na wystawie 4 województw, wrześniowej wystawie rzeszowskiego oddziału ZPAP, indywidualnej wystawie Mariana Ziemskiego oraz po odwiedzeniu kilku mieszkań-pracowni plastyków.

Zasadniczym wykładnikiem zainteresowań rzeszowskich twórców jest figuratywność większości prac, od tradycyjnie rozumianego realizmu począwszy, do dzieł, w których relacja: obraz-świat obiektywny staje się ledwo uchwytna, a sugestywność powstaje poprzez różnicowanie kolorystyczne i fakturalne powierzchni dzieła.

Tę ostatnią tendencję obserwujemy w realizacji Zdzisława Ostrowskiego malarza i poety o szerokich zainteresowaniach humanistycznych. Ewolucja twórczości Ostrowskiego ukazuje drogę prowadzącą od konwencjonalnych prac figuratywnych, do płócien o charakterze geometrycznym, przekazyjących struktury przedmiotów czy postaci. Następnie przychodzi okres abstrakcji o poetyckim wyrazie, operującej szerokimi plamami dynamicznie położonych błękitów, brązów, niekiedy czerwieni, aby dojść do surowych i szorstkich płaszczyzn, na których czernią się kontury człowieka. Co najciekawsze, że te pozabawione twarzy figury ludzkie, zaledwie sygnalizowane delikatną linią, stwarzają przecież sceny o zdeklarowanej treści emocjonalnej prowadzące do odkrycia intencji autorskich. I to między innymi wpływa na umieszczenie dorobku Ostrowskiego na wysokim miejscu w hierarchii wartości rzeszowskiej plastyki. Twórca ten z równym powodzeniem pojejuje materię, jak obrazuje świat zewnętrzny; dowodem tej ostatniej umiejętności może być uzyskanie I nagrody w tegorocznym konkursie „Rzeszów w grafice i rysunku”. Pozostając w granicach figuratywności ostatnie realizacje Ostrowskiego przekonują o całkowicie indywidualnym widzeniu realnego świata, o podjęciu prób stworzenia nowego realizmu syntetycznego — w sensie światopoglądowym i formalnym.

Oszczędność i prostota formy malarskiej pozwalają umieścić w tym kręgu także pewne realizacje Zuzanny Kusek-Kuda, młodej absolwentki krakowskiej ASP, która swoje koncepcje realizuje również w obrazach-znakach plastycznych mogących zainteresować lapidarnością formy podsuwającej różnorakie asocjacje. Z mojego punktu widzenia znacznie ciekawsze rezultaty osiąga artystka w zwielczonych portretach czy pejzażach przekazyjących istotne cechy tematu — biologiczną siłę i pewną groteskowość „Dyktatora” lub swolista atmosferę miasta („Pejzaż z Rzeszowa”).

Wśród twórców o podobnej orientacji, znacznie wybiegającej poza problemy czysto estetyczne, należy również umieścić prace obecnego prezesa Związku Plastyków w Rzeszowie Jerzego Majańskiego, autora licznych pejzaży, cserpiącego inspiracje z wyglądu miejskich ulic, konstrukcji rusztowań i pełnych przestrzeni rzeszowskich pól.

Głowy myślą

GRUDZIEN jest miesiącem calorocznego obrachunku. W jego ostatnim dniu plany produkcyjne — mówiąc żargonem ekonomistów — zmaterializują się w roczny produkt globalny i wtedy jednym radość ze zlotówek funduszu zakładowego, a innym goręca. Kiedy tak żyjemy pod presją ostatnich tygodni planu, przychodzi refleksja na temat wiecznej zmienności rzeczy. Nie tak dawno plan był odmianą bóstwa niezłomnego z nadprzyrodzoną cechą kojenia wszystkich ludzkich trosk. Przeszliśmy się jednak modlić do planu sprowadzając całą rzecz do zwykłej, zależnej od człowieka, a nie odwrótnie, kategorii ekonomicznej. Plan nie posiada samodzielnego żywota, lecz musi służyć ludziom.

Nie znaczy to, że człowiek całkowicie zapanował już nad bóstwem. Nadeszła ostatnio wieść o chwilowym triumfie sił nadprzyrodzonych. Otóż wiadomo, że placimy za gaz według nowej wyższej taryfy, co miało zapobiegać nadmiernemu zużyciu tego cennego źródła energii cieplnej. Skutek jest zgodny z przewidywaniami, bo zużycie gazu istotnie spadło, ale równocześnie pracownicy licznych gazowni prawdziwie podobnie pozostaną bez premii. Ich bóg — plan nie został w porę pomniejszony.

Ale losy bogów nie są godne zazdrości. Życie dostarcza przykładów świadczących, że w roli profanów występują sami kapłani, czyli dyrektorzy społecznoekonomicznego przemysłu. Tu i ówdzie śmiało wprowadzają pozaplanowe metody oddziaływania na ekonomikę swoich przedsiębiorstw. Szczególnie pouczające jest opowiadanie jednego z takich dyrektorów:

— Wychodzę kiedyś z gabinetu i widzę, że w moim sekretariacie jakiś człowiek wyciąga z teczki gumowy materac, nadmuchuje go, po czym rozkłada pod piecem. — Co pan robi? Ano, tu sobie legnę — odpowiada, po czym na wzór rewolucyjnej konstytuanta francuskiej zapewnia, że ustąpi jedynie przed siłą bagnietów. Okazało się, iż był to zaopatrzeniowiec jakiejś fabryki. Nie mogąc zrealizować u nas normalną drogą zamówienia rozbił namioty pod programem dyrektora.

Myślę sobie, że to jest pracownik, jakiego nam potrzeba. Co za ofiarność, co za oddanie fabryce! Muszę i ja takiego dla nas znaleźć. I znalazłem. Jest to fenomen sztuki przekonywania. Do jego największych wyczynów należy wybronięcie fabryki od wielkich strat z tytułu wystawienia odbiorcy wyrobów gorszej jakości. Kiedy przyszła wiadomość o odrzuceniu partii naszych towarów, wystannik do specjalnych poruczeń od razu przystąpił do akcji. Udał się do dyrektora zakładu — odbiorcy i zaczął udawać na wół sparaliżowanego. — Jestem majstrem — bełkotał — który wam narobił tych gorszych wyrobów. Ale bądźcie ludzcy. Mam pięcioro dzieci (nie miał żadnego) i żona mi zachorowała (nie miał żony). Z tego zmartwienia przepuściłem ten gorszy produkt. Kiedy zaczęliście reklamować, to na dodatek ze strachu sparaliżowało mi rękę. Ratujcie!

Wrażenie było piorunujące. Dyrektor zwołał doradców i jeszcze raz przejrżeli towary. Postanowiono, że coś się poprawi, uzupełni i jakoś tam będzie. Reklamacje wycofano, bo człowieka trzeba ratować. Przecież sam mówił, że jego szef zagroził mu wyłaniem z pracy.

Czyż nie jest to dowodem, że zdrowa myśl ekonomiczna coraz bardziej toruje sobie drogę? Dobry dyrektor, niby modląc się do planu, nie zaniedbuje innych środków, żeby jakoś wyjść na swoje. Cokolwiek byśmy o tym sądzili, jedno jest pewne: głowy myślą.

Jędrzej

Plastycy rzeszowscy usiłują odnaleźć indywidualne, lecz i dzisiejsze oblicze sztuki przedstawieniowej poprzez ciągłe poszukiwanie rozwiązań plastycznych, uwzględniając historyczny rozwój sztuki współczesnej, wykorzystując jej swobodę w doborze środków wypowiedzi i eliminację przewagi anegdoty literackiej nad stroną formalną, jednocześnie zwracając uwagę na problematykę humanistyczną, ideową. Aktualność tendencji przejawia się nową tematyką charakterystyczną dla naszych czasów, a w zakresie formy — linearyzmem większości prac.

Można to zaobserwować u Zuzanny Kusek-Kuda i Alfreda Kuda, w rzadszych wypadkach u Z. Ostrowskiego, a szczególnie na płótnach Roberta Pelczyńskiego („Mosty”, „Nowy Rzeszów”), różnorodnych tematycznie, inspirowanych przez świat ludzkiego działania i jego materialne konsekwencje. Cecha ta występuje również u Mariana Ziemskiego, wykładowcy w Państwowym Liceum Techniki Plastycznych w Sędziszowie, którego wystawę indywidualną widziałem w foyer teatru rzeszowskiego. Ekspozycja o charakterze retrospektywnym udostępnia prace Ziemskiego z kilku okresów twórczości. W realizacjach z lat 1956-57 widać tendencję w kierunku upraszczania formy, jej geometryzowania; w naturze dostrzeżeniu Ziemińskiego brył i płaszczyzn, organizuje je z surową dyscypliną w zwarte zespoły zręcznie wyważone plamami białej otoczonej czarnym kon-

turem. Każdy z elementów podkreśla linią tworzącą strukturę obrazu, jego schemat, w który wkomponowano kolor. W „Akcie GL w Jasielsku” i „Pejzażu z Harklowe” wkracza Ziemiński w sferę realizmu, a treścią jego dzieł stają się wydarzenia ludzkie, człowiek zaczyna przybierać swój kształt rzeczywisty, a jeżeli podlega deformacji, to jedynie w celu spotęgowania ekspresji. Istotnym walorem sztuki Ziemskiego jest humanizm realizowany tematyką płócien zapelinionych ludzkimi postaciami; omawiana tendencja przybrała ostatnio na siłę. Można zarzucać Ziemińskiemu nierówność, brak jednolitego charakteru prac, lecz spójniejszy na tę twórczość pod innym kątem dostrzeżemy przecież ciągłe poszukiwanie formy najpełniej oddającej świat i ludzi, a to właśnie — poszukiwanie — liczy się w sztuce przede wszystkim.

Osobnym rozdziałem rzeszowskiej plastyki są realizacje Alfreda Kuda. Nadrealizm, bardzo interesujący, sprowadza Kuda do kompozycji elementów anatomicznych człowieka umieszczonych w wnętrzu fantastycznej architektury lub w przestrzeni niesamowitych pejzaży. Konfrontując te prace z „Portretem podwojnym” znanym z wystawy 4 województw odnoszę wrażenie, że syntetycznie ujęte w „Portrecie...” przyniosła propozycję o znacznie szerszych perspektywach rozwojowych. Obok A. Kuda chciałbym wymienić nazwisko Edwarda Kieferlińskiego, twórcy chagallowych w nastroju obrazów miasteczek i typów ludzkich, znanego lubelskiej publiczności z Wystawy Sztuki Polskiej wschodniej.

Grafikę uprawiają prawie wszyscy wymienieni w artykule twórcy, a także ce-

(Dokończenie na str. 13)



Marian Ziemiński: „Pozwólcie nam żyć”

* V. artykuł w n-rze 20 „Kamery” z rb.

Próba operetkowej współczesności

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

„Dziękuję ci Ewo” jest jedną z nielicznych, współczesnych, polskich operetek. Bardzo dobrze się stało, że dyrekcja lubelskiego przybytku podkaszanej muzy zdecydowała się na przedstawienie swojej publiczności utworu z tej grupy.

Libretto Jana Majdrowicza (prócz tego jest on razem z Kazimierzem Winklerem autorem tekstów muzycznych) opiera się na komicznym pomysłach przebrania mężczyzny za kobietę. Tuła się ten pomysł w różnej postaci po scenach świata, począwszy chyba od teatru greckiego. Współczesne jego zastosowania nie tak dawno pokazał nam film amerykański „Pół żartem pół serio” z Jackiem Lemmonem i s. p. Marylin Monroe.

Operetka „Dziękuję ci Ewo” wciąga w krąg artystów wielkiej rewii, poznajemy dwie zakochane pary, nieodzownego ojca, nie zezwalającego na małżeństwo jednej z nich. Dwaj przyjaciele, z konieczności przebrani za kobiety, znajdują przypadkowo genialne wyjście z sytuacji. Joe uwodzi opornego ojczulka; oczywiście, jako „urocza” dziewczyna, ten zmienia się, mięknie, traci przesady klasowe i wszystko zmierzałoby w zbyt szybkim tempie do happy endu, gdyby nie zazdrość, która daje okazję do stworzenia jeszcze wielu perypetii.

Majdrowicz, zręczny librecista, pod koniec zaczął nadmiernie eksploatować swój pomysł osiągnąć granicę wytrzymałości, ale ta, zresztą dzięki inscenizacji i reżyserii Stanisławy Stanisławskiej, nie została przekroczona.

Pomysł librecisty — pokazanie na scenie teatru muzycznego — daje możliwości wystawienia wielu numerów rewiowych. Wielką zasługą inscenizacji Stanisławskiej jest świetne połączenie występów rewiowych z akcją, stwarzającą bardzo interesujący przepłataniec. Bardzo interesująco został przez inscenizatorkę skonstruowany mechanizm teatru w teatrze, pozwalający na rzadkie przerywanie toku przedstawienia przez kurtynę. Nie było to łatwe, ponieważ raz oglądamy rewię od strony sceny i zaraz potem od kulis.

Dobrym realizatorem tych założeń inscenizacyjnych jest scenograf Jerzy Torończyk, centralnie utrafił w ton rewii dając rozwiązania bardzo przestronne i dobre kolorystycznie. Nawet kulisy nie straszyły szarością, wyjątek — gabinet dyrektora mało podobny do gabinetu, ale to tłumaczy się brakiem miejsca i koniecznością przedkijki wymiany rekwizytów. Tym razem kiczowatości uniknął pejzaż wielkiego miasta. Bardzo dobrze, z małymi wyjątkami, współgrały z dekoracjami kostiumy zaprojektowane przez Ewę Fabian. Zwracał uwagę smak, bogactwo barw i interesujące pomysły. Były to naprawdę kostiumy z wielkiej rewii. Odbiegały od niej poziomem, niestety, układy choreograficzne, również Stanisławy Stanisławskiej. Dość niecie-

kawie pomyślane, tworząc w niektórych momentach „nie z tej ziemi” gatunek „twist-opera”, wykonywane były jeszcze gorzej. Tancerze okazali zaskakujący brak precyzji i synchronizacji grupowej. Poprawienie jakości produkcji baletowych jest warunkiem sine qua non wywindowania lubelskiej operetki na wyższy poziom artystyczny.

Muzyka Stanisława Renza razem z cyrkowo brzmiącą uwerturą nie odbiega od szablonu przeciętnej muzyki rozrywkowej, mimo wysiłków nie stwarza melodii godnych zapamiętania. Miejscami jest dość rytmiczna, z wpływami muzyki synkopowanej.

Co do zespołu aktorskiego to na wielkie pochwały zasługuje Felicja Jagodzińska, na premierze prasowej grała rolę Pat Fiancee, bynajmniej nie główną. Wysoki poziom gry aktorskiej (znaczący wpływ pracy w teatrze dramatycznym — „Królowa przedmieścia” w teatrze im. J. Osterwy) pozwolił na nadanie bardzo ciepłego tonu granej przez nią postaci. Nie mówię już o walorach wokalnych wykonania.

Aura Szymanowska, nowa nabytek naszej Operetki, grała Mary Duck (główną rolę kobiecą), córkę prowincjonalnego bogacza, usiłującą zrobić karierę w teatrze. Dość znaczne braki aktorskie (szczególnie szwankuje gestyka) oraz zbyt ostre brzmienie głosu w wysokich partiach, śpiewanych forte, sprawiły, że tym pierwszym swoim występem na lubelskiej scenie jeszcze nie zdobyła publiczności. Tadeusz Sosnowski i Józef Kasperski nie odbiegali od swego zwykłego poziomu. Leon Langer, drugi nabytek Operetki, jakkolwiek nierewelacyjny głosowo, o nie najlepszej dykcji, korzystnie wyróżniał się naturalnością gry i swoistym wdziękiem.

Z drugorzędnych postaci podobają się: Krystyna Marynowska i Wanda Mikulska grające tancerki streep-teasu, Zofia Bronikowska — inspicjentka Józefina, oraz Jan Fabian — barman Alberto.

Operetka „Dziękuję ci Ewo” zawdzięcza swój sukces przede wszystkim libreciście wywołującemu u widza zaangażowanie emocjonalne i humor, oraz reżyserowi i scenografowi stwarzającemu dużą widowiskowość, wartość decydującą o powodzeniu wśród publiczności.

Szkoda, że autorzy tej miłej operetki nie sięgnęli do polskich realiów, ale to może być postulatem na przyszłość.

Z uznaniem należy podkreślić bardzo celowy i umiejętny dobór reneruaru przez kierownictwo artystyczne lubelskiej Operetki, która lansuje, jak bez trudu można zauważyć, utwory współczesne. Taka polityka repertuarowa daje możliwości startu i sprawdzenia na scenie — współczesnej polskiej twórczości operetkowej.

Rzeszowskie środowisko plastyczne

(Dokończenie ze str. 12)

zary Kotowicz i Adolf Jakubowicz, którzy należą do wybitniejszych reprezentantów tego gatunku plastyki. Kotowicz osiąga ciekawe rezultaty w rysunkach portretowych trafnie wydobytających psychikę modelu. Jakubowicz zaś interesuje przede wszystkim pejzaż, ukształtowany nerwową kreską, dającą dramatyczne efekty, czego przykładem cykl „Szkiców bieszczadzkich”.

Na Rzeszowszczyźnie mieszka i pracuje szereg twórców, których nie wymieniałem w artykule, ponieważ nie miałem możliwości zapoznać się z ich dorobkiem w stopniu wystarczającym. Tak więc, należałoby jeszcze wspomnieć o Janie Maternickim, Helenie Niemczak-Majewskiej, Jadwidze Dziędziewicz, Andrzeju Smoczyńskim, Renacie Niemirskiej-Pisarek, Marianie Stelmajku i twórcy starszej generacji Franciszku Frączku, którego realizacje spokrewnione są z symbolizmem, w pewnych wypadkach wykazując analogie do dzieł Linkego. Mam nadzieję, że możli-

wość prezentacji wspomnianych artystów jeszcze się nadarzy.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się obraz rzeszowskiego środowiska plastycznego, a cechą charakterystyczną działalności omówionych twórców zdaje się być szczęśliwe połączenie ambicji artystycznych z zrozumieniem społecznej funkcji artysty w naszym kraju.

Podczas ostatniego dnia pobytu w Rzeszowie na próżno usiłowałem odnaleźć sklep sprzedający prace miejscowych artystów. Okazało się, że placówka taka nie istnieje. Może więc przyniosłoby skutek zwrócenie się do PMRN w Rzeszowie o przydzielenie Związkuw Polskich Artystów Plastyków odpowiedniego lokalu, oczywiście w centrum miasta, może przy ulicy 3 Maja. Dla twórców korzyść oczywista, dla społeczeństwa zaś — niebagatelną możliwością wrodożenia do mieszkańców dzieł sztuki, zamiast tylko już ośmieszanych „Jeleni na rykowsku”.

Ireneusz J. Kamiński

wrażenie sprawiły ciemne konary na podświetlonym horyzoncie. Muzyka (dobra, autor Ryszard Schreiter) nie była chyba potrzebna w tym spektaklu.

W sumie można byłoby wyrazić wdzięczność teatrowi za wzięcie na

warsztat „Grzechu”, bo idea uświetnienia rocznicy Żeromskiego, jest cenna. Gorzej tylko, że została raczej odfajkowana, gdyż niewłaściwe obsadzenie niektórych ról, utrudniające pracę reżyserską stawia przed nami zapytania celowość wystawienia sztuki.

Czyj grzech?

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

ŻEROMSKI dał się poznać jako humanista stosunkowo wcześnie. Już w pierwszym tomie nowel znajdujemy zapowiedź tego, co potem zostanie szeroko rozwinięte w „Ludziach bezdomnych” — głębokiego zrozumienia dla ludzkich cierpień i umiejętności przekazania współczucia czytelnikowi, czy jak w przypadku „Grzechu” — widzowi.

Bo również w tym wczesnym utworze scenicznym Żeromskiego wartości humanistyczne są najbardziej istotnym elementem. One to właśnie, obok nieschematycznego rozwiązywania problemu, o czym niżej, decydują o wartości utworu, mimo jego nieco melodramatycznego „leitmotywu”.

Krytyka marksistowska nie bez racji mówi o ograniczonej postępowości Żeromskiego. Konsekwentny w negacji ustroju nie dał jednak w pełni postępowego, konstruktywnego rozwiązania analizowanych problemów. Bardzo zaważyły na takim sądzie owe słynne „szklane domy”, nie dostrzeżono natomiast „Grzechu”. Tymczasem tu właśnie — można to przypuścić — autor w ostatnim, zaginionym niestety, akcie daje rozwiązanie wykraczające poza ustalone schematy literackie. Nie bez znaczenia jest również fakt umieszczenia akcji utworu na gruncie konfliktów klasowych — bezkompromisowego wyperania z arena życia upadającego ziemiaństwa przez siłę kapitału, czy wreszcie, jak wypukła owo „dopisanie” Kruczkowskiego — krystalizowanie się nowej klasy: proletariatu. Dzięki temu „Grzech” jest nie tylko historią uwlezionej dziewczyny, jest również dokumentem epoki.

Dziś dokument ten nie bardzo doceniamy, ma już on inną wymowę niż sześćdziesiąt lat temu, a rekonstrukcji Kruczkowskiego często zarzuca się schematyzm. W dyskusji po lubelskiej premierze „Grzechu” pani Maria Bechezye-Rudnicka lansuje oryginalny pogląd, iż cechy schematyzmu dostrzegane w czwartym akcie sztuki wynikają może ze skrajnej lojalności Kruczkowskiego w stosunku do autora „Ludzi bezdomnych”: skąpe informacje na temat budowy tego aktu zwiływały ręce opracowującemu tekst. Nie miał materiału pozwalającego na pełną realizację autentycznych intencji Żeromskiego, z drugiej zaś strony uważał może za niewłaściwe forsowa-

nie własnego rozwiązania. W poglądzie tym jest chyba dużo racji.

Ale do inscenizacji lubelskiej zakradły się i inne jeszcze niejasności. To duża zasługa reżysera — Janiny Orszy-Lukasiewicz, że zechciała pokazać utwór w jak najpełniejszej postaci, ale zjawienie się Anny na budowie zabrzmiało tu zbyt nieprawdopodobnie. Zabrakło po prostu jakiegoś ogniwa łączącego. Gdyby rozmowy z Niemińskim nie włączono do ostatniego aktu, tylko przekazano ją, jak chciał autor, na wiejskiej drodze, gdzie dopiero była mowa o poszukiwaniu przez Annę pracy, sprawa byłaby bardziej czytelna.

Szczerze uczucie sympatii wzbudzała Anna Jolanta Bohdal. Miła, prosta, bezpretensjonalna w swej naiwności, w ostatnich scenach stanowiąca, była postacią pełnowymiarową i ujmującą. Jedyne w pierwszym akcie, może za sprawą reżysera, nazbyt rozbiegana i roztańczona, co chwilami zacierało tekst. Zupelnie natomiast nie sprostał zadaniu jej partner — Tadeusz Zadora jako Bukowicz. Z tekstu wniosłowska można, że główną cechą tego „enfant terrible” jest słabość charakteru i wygodnictwo życiowe, jednak „poderwanie”, jak by dziś powiedziano, Anny ma chyba głębsze podłoże. Nie zobaczyliśmy nic z tego na premierze. Był fircyk, nie przekonujący nawet w zalotach. Janinka Danieli Zborowskiej zbyt mało była chytrą żmijką, zarzucającą senci, bardziej natomiast w zasadniczym rysunku postaci zbliżała się do Anny. Bezspornym natomiast sukcesem autorsko-aktorskim nazwałbym rolę Henryka Jaskrowicza w wykonaniu Aleksandra Aleksego. Autorskim, ponieważ to postać naprawdę z krwi i kości, aktorskim zaś, bo popularny w Lublinie Aleksey potrafił oddać wszystkie subtelności roli, a ma ona nie być jakie tradycje i mimo woli przeprowadza się analogie do znakomitego Zelwerowicza. Trafne ujęcie postaci Ogrodzkiej jako kobiety pokrzywdzonej przez życie i wskutek tego właśnie ostrej i surowej dla najbliższych, dała Stanisława Zawiszanka. Kwestia „Ja bym mogła jeszcze wyjść za mąż” była dla aktorki kluczem do roli. Niefortunnie natomiast wypadła postać Zofii Parmen w wykonaniu Marii Kaczkowskiej. Nic z zimnej, wyrachowanej, wyniosłej damy, pewnej swego sukcesu dzięki pieniądzą, a przecież to ona jest „spiritus movens” całej tragedii, ona decyduje o losach bohaterów. Śmiesznym, chwilami nadto, Józefem był Kazimierz Siedlecki. Niemińskiego grał Witold Zarzycha, dozorec mularzy — Stanisław Maleszewski, Wuliczkę — Wanda Węśław, a robotnicę Szwia Nowakowska. Scenografia Jerzego Torończyka stanowiła element podkreślający nastroj sztuki. Szczególnie przygnębiające

Aleksander Aleksey (Jaskrowicz) i Jolanta Bohdal (Anna)

PRZEGLĄD PRASY

O BECNY przegląd chce zacząć od omówienia dwu czasopism, którym stempel fachowości czy naukowości zamyka poniekąd kontakt z szerszymi kręgami czytającej publiczności. Jakże niesłusznie! Świadczą o tym najnowsze numery **Pamiętnika Teatralnego i Przeglądu Humanistycznego** (nakład 770 egzemplarzy — śmiesznie mały w stosunku do wagi pisma, jego atrakcyjności i żywego redagowania).

Poczwórny, prawie czterystustronicowy numer **Pamiętnika Teatralnego** poświęcony jest wyłącznie teatrowi polskiemu w czasie wojny. „W ciągu ostatnich lat — pisze na wstępie Z. Raszewski — wiele razy zdarzyło nam się czytać, że teatr polski podczas wojny nie istniał. Mamy powody przypuszczać, że nasza publikacja obali to mniemanie”. I rzeczywiście czyni to przedstawiony materiał. Przeszło trzydzieści pozycji (kroniki, wspomnienia, bibliografie, artykuły, studia), daje bogatą panoramę życia teatralnego czasu wojny i jego drobiazgową, dokładną, na ile materiał pozwalał, dokumentację. Na tę panoramę składają się liczne i różnorodnie zjawiska, będące przedmiotem syntetycznych i bardziej szczegółowych prac. Po katastrofie wrześniowej podjęte zostały próby wznowienia normalnej działalności teatru (Kraków i Lublin), rychło jednak zarządzenia okupanta uniemożliwiły ją. Od 1940 r., tj. ogłoszenia przez Niemców przymusowej rejestracji ludzi teatru i bojkotu tego ogłoszenia decyzją działających w podziemiu związkowych władz teatralnych, życie teatralne płynęło parą strumieniami. Najwybitniejsi ludzie teatru ograniczyli się do działalności konspiracyjnej, brali raczej udział w przedstawieniach zamkniętych, przeznaczonych dla niewielkiego grona ludzi wtajemniczonych. Spora grupa aktorów i reżyserów nie występowała w jawnych teatrach kontrolowanych przez Niemców, natomiast angażowała się do imprez estradowych, co było dopuszczone przez wspomnianą decyzję władz podziemnych. I wreszcie trzeci nurt — udział w występach teatrów koncesjonowanych przez władze okupacyjne. Niektórzy z ludzi tu zaangażowanych ukarani byli wrokami władz podziemnych za postawę niegodną polskiego artysty. Ta sprawa, drażliwa i przykra, jest tu omawiana kilkakrotnie, m. in. w dialogu (tytuł: „Kolaboracja?”) B. Korzeniowskiego i Z. Raszewskiego oraz w mądrych, ludzkich wypowiedziach Stefana Jaracza.

Inne artykuły i wspomnienia szczegółowo przedstawiają działalność teatralną czasu wojny w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Wilnie i Białymstoku. Zyskał dokładne oświetlenie teatr okupowanej Wielkopolski, życie teatralne w obozach jenieckich i koncentracyjnych, ukazany został teatr na froncie — na Bliskim Wschodzie, we Włoszech, a wreszcie teatr i Dywizji i Teatr Wojska Polskiego, który także prowadził przez parę miesięcy działalność w Lublinie po jego wyzwoleniu.

Za obszerny to materiał, by go relacjonować w przeglądzie prasy. Spis treści „Pamiętnika Teatralnego” obejmuje półtorę strony druku. Są tam pozycje, które czyta się jednym tchem. Do takich zaliczam kronikę życia teatralnego podczas wojny, którą opracował S. Marczak-Oborski oraz pozycje dotyczące okupacyjnej działalności i życia L. Schillera. Mówią o faktach niezwykle ciekawych a zupełnie nieznanymi. „Pamiętnik Teatralny”, bogato ilustrowany, jest kapitalnym dokumentem życia kulturalnego Polski Podziemnej.

Przegląd Humanistyczny należy do tych pism naukowych, które są „do czytania”. Przykładem dobrej i ciekawej roboty jest numer poświęcony poe-

zji współczesnej. Wyliczenie ważniejszych pozycji daje pojęcie o randze nazwisk (przeważnie nie zawodowych naukowców!) i wadze podjętych problemów. J. Z. Jakubowski pisał o tradycji i nowatorstwie poezji Broniewskiego, L. Bartelski o poetyce heroizmu (tworczosć poetycka czasu wojny), A. Stern o źródłach nowej poezji, J. Brząkowski, L. Piwowar i J. Przyboś — o wyobraźni w poetyce awangardy, zaś M. Jastrun o przemianach poezji współczesnej. Przekłady obejmują trzy pozycje: R. Caillois — „Sztuka poetycka”, W. W. Tarnofiejewa — „Ludowość w języku Majakowskiego” i R. Garaudy — „Kubizm i dadaizm w ewolucji Aragona”.

A oto kilka zdań z interesującej wypowiedzi M. Jastruna, poświęconych nowej poezji:

„Krociotrwały poryw liryki polskiej w ostatnich latach wzbudził więcej namiętności niż pozostał spełnień. To, co w tym najwarościowsze, to zmiana sposobu myślenia poetyckiego, właśnie: myślenia, tak obcego na ogół naszej poezji, przewarstwowanie tradycyjnego wiersza, próby stworzenia nowych rygorów. Z drugiej strony początek nowego rozważania, szkodliwe w swej istocie, mimo postulatów zwięzłości, nadużycie słowa, lęk przed eksploatowaniem tych terenów, które nie utraciły żywości. Sądzę, że do poezji przenika znacznie mniej z dokonujących się przemian psychicznych, niż w ubiegłych okresach, że jest ona w istocie nieśmiała i cofająca się przed prawdą nowocześnieścią w odczuwaniu. Nowe dwudziestolecie dobiega mety. Obawiam się, że nie będzie to meta zwycięska”.

Od poezji przejdźmy jeszcze do prozy współczesnej, młodziej od tej, którą tworzy pokolenie **Współczesności**, chociaż określenie to nie już dzisiaj nie znaczy, wspólny mianownik dla wszystkich przestał być aktualny, każdy z pisarzy poszedł swoją drogą. We „Współczesności” A. Bukowska śledzi tendencje rozwojowe prozy najmłodszej na przykładzie tegorocznych debiutów. Co je łączy? Mały realizm. To stwierdzenie autorki nie niepokoi. Niepokoi ją to, że tylko tyle. Dla prozaików wstępujących do literatury „Istnieje tylko konkret i liczy się tylko konkret. A jeżeli tak jest w istocie, mały realizm będzie pułapem, wyżej którego nigdy nie sięgną”.

Dodać trzeba, że artykuł Bukowskiej otwiera jubileuszowy 150 numer „Współczesności”. Numer wypełniony dobrymi wierszami, dobrymi artykułami, dobrym zestawem współczesnego malarstwa. A nazwiska piszących mówią za siebie: Bryll, Drozdowski, Grochowiak, Karpowicz, Przyboś, Lenart, Rogoziński, Rymkiewicz, Stachura — i kilkanaście innych.

T. K.



JULIA czyli sukces

P ODCZAS ogólnopolskiego przeglądu zespołów estradowych w Olsztynie spektakl estrady rzeszowskiej pt. „Julia, czyli delikatność uczuć” stał się prawdziwą rewelacją i uzyskał nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za wybitne walory artystyczne.

Przewodniczący jury, znakomity artysta Kazimierz Rudzki, w wywiadzie dla „Muzyki i Aktualności” mówił o programie rzeszowskim w superlatywach. Po raz pierwszy w kilkuletniej działalności estrady rzeszowskiej (tradycje tego gatunku w Rzeszowie są bardzo młode) udało się nam sięgnąć po palmę pierwszeństwa w skali krajowej. Z trzynastu nagród Rzeszowlanie zdobyli cztery, najważniejsze.

Sukces „Julii” jest przede wszystkim sukcesem reżysera i inscenizatora, Juliana Krzywki (nagroda indywidualna). Dokonał on wyboru różnorodnych utworów z bogatej spuścizny autora „Listów z flokiem”, połączył je w logiczną całość, nadał spektaklowi dobre tempo. Krzywka okazał się nie tylko dobrym znawcą scenicznych walorów twórczości Gajczyńskiego (kapitałnych scenek satyrycznych, parodii, urzekających wierszy lirycznych), ale potrafił walory te przełożyć na język sceny w sposób

trafny i zgodny ze specyficznym klimatem tej poezji.

Zamysłem reżysera przysłała z pomocą nowoczesna, groteskowa i liryczna zaręczona scenografia Salomei Gawrońskiej a także interesujące układy choreograficzne Zofii Węclawówny i muzyka Kazimierza Fica (nagroda zespołowa).

Z niełatwego zadania wywiązał się bardzo dobrze cały zespół, z którego na plan pierwszy wybijają się Iga Strzelecka i Julian Krzywka. Strzelecka (laureatka nagrody indywidualnej) jest dojrzała, doskonale znająca arkana aktorstwa estradowego artystką, świetną w groteskach i parodiach, Julian Krzywka udowodnił, że jest aktorem o dużych możliwościach. Z powodzeniem sekundowali im: Andrzej Tarzański i Jerzy Stankiewicz, dysponujący dobrymi warunkami. Prawdziwą niespodzianką był obiecujący debiut Miry Kubasińskiej, młodej Rzeszowlanki, która trafiła do estrady wprost z ruchu amatorskiego. W spektaklu wzięli poza tym udział: Krystyna Mistak, oraz zespół muzyczny w składzie: Tomasz Bąk, Adam Kwiatkowski i Tadeusz Nalepa.

Czy oznacza to, że „Julia” jest pozbawiona wad, że nie można jej nie zarzucić? Czy nie za wiele tu skłonności do sytuacji negatywnych, a nie za mało nastrojów lirycznych? Także tempo spektaklu jeden z aktów „Julii” — w prologu wydało się być zbyt szybko, utrudniające odbiór.

Zbigniew Wawszczak

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

SESJA WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ w Lublinie poświęcona sprawom kultury odbyła się 29 bm. W obradach sesji wziął udział wiceminister kultury Zygmunt Garztecki.

27 LISTOPADA OBRADOWAŁ VII wojewódzki zjazd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Zjazd podsumował działalność Towarzystwa w okresie ostatnich trzech lat oraz wybrał nowe władze wojewódzkie.

W LOKALU LUBELSKIEGO ODDZIAŁU ZLP odbyła się 25 bm. dyskusja członków Związku Literatów i redakcji „Kamień” nad założeniami XIII Plenum KC PZPR w dziedzinie literatury.

Inicjatywa plus koordynacja

(Dokończenie ze str. 2)

Wydaje się, że tworzenie wspólnym wysiłkiem placówek lepiej zorganizowanych i lepiej wyposażonych, zwłaszcza we wsiach i w małych ośrodkach miejskich, gdzie brak domów kultury, stanowić powinno zasadniczą część składową powiatowego programu rozwoju kultury na lata najbliższe. W tej grupie zagadnień mieści się również rozwiązanie problemu ośrodków poradnictwa i instruktażu dla świetlic i klubów w każdym powiecie.

Krzysztof Wójtowicz

REDAKCJA „KAMENY” utworzyła w styczniu br. dział kontaktów z organizacjami młodzieżowymi i młodzieżą twórczą. Redaktor tego działu Mirosław Derecki otrzymał w listopadzie nagrodę Rady Okręgowej ZSP w Lublinie za wyniki pracy tego działu.

NA TURNIEJU POETYCKIM o nagrodę gdańską „Czerwonej Róży” III miejsce zdobył Henryk Jachimowski z Sedziszowa, członek współpracującej z nami literackiej grupy młodych Ziemi Kieleckiej „Ponidzie”.

W TEATRZE IM. J. OSTERWY odbyła się premiera „Fizyków” Dürrenmatta, w reżyserii i scenografii Jerzego Ukłei.

BIAŁYSTOK

SEKCJA HISTORII NAJNOWSZEJ Białostockiego Towarzystwa Naukowego powzięła inicjatywę ogłoszenia konkursu na wspomnienia działaczy partyjnych, państwowych i gospodarczych pierwszych lat po wyzwoleniu. Celem konkursu jest zebranie materiałów faktograficznych z tamtego okresu do późniejszego opracowania naukowego. Inicjatywa ta wydaje się ze wszech miar słuszną i będącą cennym wkładem w obchody XX-lecia Państwa Polskiego.

W SALONIE WYSTAWOWYM ZPAP z końcem listopada otwarto wystawę, drugą z kolei po Wojniaku, artysty plastyka przemysłowego o specjalności włókienniczej — Izabelli Marcjan. Młoda plastyczka po ukończeniu studiów w Łodzi, wystawiała dotąd na wystawach okręgowych ZPAP, na wystawie w Sopocie i podczas wystawy objazdowej czterech województw. Niższa wystawa jest jej pierwszą wystawą indywidualną.

NIE MOŻEMY NARZEKAĆ na nadmiar przedsięwzięć kulturalnych, szczególnie z zakresu kultury i sztuki ludowej. Tym bardziej cieszy inicjatywa Spółdzielczego Zrzeszenia Chalupników i Wytwórców Ludowych powołania własnych zespołów chóralnych we wsiach Wilkoszki i Grygorowce w pow. Bielski Podlaski.

Od nowego roku Zrzeszenie projektuje wprowadzenie masowego szkolenia dla wsiach członków. Szkolenie obejmowałoby

przede wszystkim przedmioty przydatne do produkcji chalupników, a więc plastykę, historię i rozwój sztuki ludowej itp.

KIELCE

TEATR IM. ST. ZEROMSKIEGO otworzył w dniach 9 i 10 listopada nowy sezon premierami sztuk: „Fantazy” J. Słowackiego w inscenizacji i reżyserii Bolesława Smęła, ze scenografią Jana Golki, oraz „Symulanci” A. Siewierskiego w reżyserii Andrzeja Dobrowolskiego i scenografii Mariana Gostynskiego. Uzupełnieniem tych sztandarowych utworów jest nowa forma programu pomyślanego jako początek lokalnego wydawnictwa teatralnego, zatytułowanego „Życie Teatru”.

WOJEWÓDZKA KOMISJA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH zawarła z Zarządem Kieleckiego Radomskiego Oddziału ZPAP porozumienie w sprawie upowszechnienia plastyki na terenie zakładów pracy wojewódzkiej. Na wiosnę br. plastycy przeprowadzili „wizytę” 11 wytypowanych zakładów. Plastycy kieleccy zaproponowali w ramach tego porozumienia program działania ze wszech miar zasługujący na poparcie i znaleźli pełne zrozumienie u partnera. W ramach odbytego ostatnio seminarium dla działaczy kulturalnych związkowych z terenu, wygłoszono szereg interesujących prelekcji. Przedstawiciel CRZZ, trzech przedstawicieli środowiska plastycznego i prezes Kieleckiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych — omówili problemy organizacyjne i społeczne związane z upowszechnieniem plastyki.

NALEŻY ZANOTOWAĆ KOLEJNA PRZEWODNICZĄCY ZPAP w „mecz” z Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kielcach. Sielny mecz, w którym „piłka” jest niewidoczny lokal, przebiega w sposób już klasyczny: „Plastyce, jest lokal tak wam potrzebny, chcecie?” — „Chcemy” — „odpowiedź, chcecie?” — „Chcemy” — „Nie, nie, nie, władają radośnie plastycy, i co? I nie, nie, nie, dają lokal filuterni miłośnicy „ciucubabki”. Postanowili doprowadzić do tego aby odpowiedź plastyków brzmiała: „Nie, już nie chcemy. Nie już nie chcemy”.

18.XI. ODBYŁO SIĘ posiedzenie Komisji Obchodu XX-lecia PRL, zainicjowane przez Wojewódzki Komitet FJN w Kielcach. W wyniku obrad zatwierdzono już personalnie składy ośmiu grup roboczych.

Unia